

AS

Nr. 30
23 LIPCA 1939 ROKU
CENA 40 GROSZY

PRZED MORSKĄ WYCIECZKĄ...

[illegible] Id[illegible]pino

Król-toreador



KARTKA Z ŻYCIA AUGUSTA II.



Żaden z książąt drugiej połowy XVII wieku nie miał tyle energji i sił żywotnych, co, przyszły król polski, a ówczesny elektor saski Fryderyk August syn Jana Jerzego III, któremu współczesność nadała miano „Marsa Saskiego" i Anny Zofji księżniczki duńskiej.

Był to mąż silny, rycerski, o dużym polocie i chęci roztaczania wokół siebie blasku sławy. Atleta, tancerz zawołany, myśliwy, czuły kochanek, będący stale w poszukiwaniu przygód i awantur miłosnych, hołdujący modnej na owe czasy galanterji, która nakazywała odnosić się z dużym pietyzmem do przedstawicielek płci pięknej i składania im należnych oznak czci i szacunku.

Wszelkie dane ku temu miał właśnie młody Fryderyk August. Dwór saski bowiem nigdy nie miał osób tak pięknych i godnych jak właśnie w tych czasach, tak, „że zdawało się iż sama natura wzięła sobie za ukontentowanie lokować tam to, co miała najpiękniejszego". Damy dworu saskiego słynęły ze swego wdzięku w całej Europie.

Mimo to jednak młody Fryderyk August, powodowany nieprzepartą żądzą przygód i czynów mogących wsławić jego imię na dworach innych państw, wybiera się na włóczęgę po Europie z garstką wprawdzie, ale zato oddanych mu zupełnie i słuchających go bezwzględnie dworaków. Wsławił się swemi przygodami w Holandji, Anglji i Francji. We wszystkich tych państwach miał on wiele kochanek, ale był to „raczej skutek ognia przemijającego, jak to zowią galanterja, która mu próżnować nie pozwalała, niż interes serca jego". Wkońcu zasłyszawszy o piękności dam hiszpańskich, które już wówczas słynęły w Europie ze swego temperamentu i umiejętności prowadzenia gry miłosnej, wybiera się do Madrytu.

Był to rok 1688. Skromny orszak królewski stanął w murach tego miasta w wigilję wielkiej walki byków. Urządzał ją Karol II dla Marji Anny Neuburgskiej, księżniczki Palatynu Renu, a swej małżonki.

„Otóż mamy czem się wsławić" — pomyślał książe — a zwracając się do swego orszaku rzekł: — Zdałoby się, abyśmy jutro skruszyli kopje i kilka byków zabili dla honoru przyszłych kochanek naszych i abyśmy o sobie odgłos puścili.

Nazajutrz tedy rano książe i ludzie jego ubrani bogato przybyli na rynek madrycki. Wokół widać było wystawione, amfiteatralne siedzenia, na których wielka mnogość ludzi stała i siedziała. Krużganki i okna wszystkich kamienic otaczających rynek ozdobione były bogatemi kobiercami i girlandami kwiatów, a piękne czarnookie córy Hiszpanji swoją pięknością i wspaniałością w strojach budziły ogólny podziw i przyciągały wzrok młodego księcia saskiego, który zmieszał się z tłumem widzów bacznie obserwując to co było dla niego nowością i co znał zaledwie ze słyszenia z ust ówczesnych globtretterów.

Badał tajniki, sposoby i prawidła walki z bykiem i szybko je pojął. Wyszedł tedy z ganku, wsiadł na konia i pokazał się przed kręgiem zawodników, odgradzającym plac walki.

Zdumiano się niepomiernie co zacz jest ten mąż nieznany w Madrycie, który odważa się stawić czoło rozszalałemu zwierzęciu. Posłuszni jednak jego woli pachołkowie, stojący przy kręgu otwarli go i książe wjechał na plac, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich widzów, zarówno bogatym strojem jak i poważną miną. W dłoni trzymał jedynie sztylet. Nieznany śmiałek dopiero na placu pokazał niezwykłą nawet dla Hiszpanów sztukę swej siły i odwagi. Jednem bowiem uderzeniem sztyletu tak silnie ciął w kark byka, że mu ledwie łba nie obciął, a byk padł na miejscu, jakby rażony piorunem. Hiszpanie długi czas trwali w osłupieniu nie mogąc wyjść z podziwu, że kawaler ten nie będąc Hiszpanem tak zgrabnie uporał się z bykiem. Zdumieli się sami królestwo, posyłając jednego z dworzan dowiedzieć się kim jest nieznajomy.

Jakież było ich zdumienie, gdy dowiedzieli się, że cudzoziemiec jest księciem krwi, nie było bowiem w zwyczaju w Hiszpanji, aby wysoko urodzony rycerz odważył się stoczyć walkę z bykiem.

Czyn Fryderyka Augusta zjednał mu olbrzymią sławę w całym Madrycie. Król hiszpański zaprosił go do siebie na audiencję, królowa natomiast nie mogąc doczekać się tej chwili, a chcąc zaspokoić swą ciekawość niewieścią jeszcze w tym samym dniu zawiadomiła bohaterskiego księcia, że życzy sobie z nim rozmawiać i że w tym dniu jeszcze czeka go w swej komnacie do której zostanie wprowadzony przez tajemne schody. Z niecierpliwością zdążał August za swą przewodniczką, faworytą królowej prowadzącą go krętemi schodami dostępnemi jedynie dla najbardziej zaufanych osób.

Zastał ją w otoczeniu swego dworu, stojącą pod baldachimem i z zainteresowaniem przyglądającą się jego wspaniałej, atletycznej budowie. Książe będąc blisko królowej według zwyczaju hiszpańskiego przyklęknął chcąc pocałować rękę królowej. August miał możność w czasie długo trwającej rozmowy z królową przekonać się o gładkości lic dworek królowej z których szczególnie jedna wpadła mu w oko. Była nią margrabina Manzera, która przychwyciwszy spojrzenie saskiego galanta odpłaciła mu ognistem spojrzeniem. Zauważyła to królowa i w czasie kolacji o niczem innem nie rozmawiała z królem, jak tylko o Auguście, sławiąc jego rozum, układność i dobre maniery zmuszające do podziwu.

„Moje damy" — mówiła „są w wielkim podziwie i zawróciły mi głowę pochwałami. Mam wiadomość — rzecze — zwracając się w stronę księżniczki Ferdynandy, matki margrabiny Manzera, że Margrabina takich jest ku niemu sentymentów, jakich dotychczas i ku swemu mężowi nie miała".

Nie myliła się królowa. Walka z bykiem i posłuchanie u królowej umożliwiły poznanie się margrabiny z Augustem, dzięki sprytowi kwestarza — Bernardyna, Włocha z urodzenia, który wszedłszy w konfidencję z służebną pięknej Hiszpanki ułatwił pierwsze spotkanie. Było to początkiem dalszych przygód przyszłego króla polskiego w Madrycie. Zakończyło się one śmiercią Margrabiny, a zamachem morderczym na księcia przez nasłanych siepaczy i dopiero interwencja wiernego towarzysza umożliwiła księciu wydostanie się z opałów, które na długi czas wsławiły jego imię w całej Europie tak, że gdy był już królem polskim jeszcze mu przypominano jego walkę z bykiem w Madrycie, a on sam kilkakrotnie w swym życiu stwierdzał „że żadnej białogłowy bardziej nie kochał jako Margrabiny Manzera, której śmierć była dla niego bardzo bolesnym ciosem".

Po tragicznym finale swego romansu madryckiego, hojnie obdarowany książe saski ruszył na dalsze poszukiwania przygód przez prowincję Walencji Katalonji, przez Langwedocję i Prowancję do Włoch.

Mimo to jednak nie przeszkodziło mu to przybywszy do Wenecji uwikłać się w nowe intrygi miłosne. Senat wenecki na wiadomość o obecności tak wybitnego gościa, chcąc mu odpowiednio uprzyjemnić pobyt w Wenecji zawiesił chwilowo prawo, zabraniające Wenecjanom bawić się z cudzoziemcami, a damom weneckim pozwolił nosić djamenty i bogate suknie. Przez cały czas pobytu księcia saskiego odbywały się huczne bale i festyny i koncerty, na których obecny Fryderyk był ubrany w suknie hiszpańskie, gdyż strój ten najlepiej uwydatniał piękno jego postaci.

Pobyt w Wenecji trwał dziesięć miesięcy i niejednokrotnie biedny Vitztum mający czuwać nad bezpieczeństwem swego pana musiał niejednokrotnie przez kilka dni przeszukiwać Wenecję aby odnaleźć bawiącego się Augusta.

Po hulaszczych nocach weneckich przybywa pędzony swą awanturniczą ambicją Fryderyk August do Bononji, przyjmowany uroczyście przez kardynała arcybiskupa bonońskiego tego samego przed którym późniejszy syn jego, a król polski August III będzie składał wyznanie wiary.

Wszystkie te przygody — „grzechy młodości" wynikały z nadmiaru temperamentu, z natury niepospolitej, ale zarazem awanturniczej, która zmuszała tego młodego, bo zaledwie dziewiętnaście lat liczącego księcia, do ustawicznego snucia gigantycznych planów, mających wsławić jego imię.

Ukoronowaniem tych wyczynów był sławny wjazd szóstką koni do podziemi ratusza w Norymberdze, gdzie Fryderyk August zgasiwszy wystrzałem z pistoletu świecę, stojącą w drugim końcu, wyjechał galopem.

Kres tym przygodom awanturniczym położyła bezdzietna śmierć Jana Jerzego IV w dniu 27 kwietnia 1684 roku. Fryderyk August staje się władcą elektorstwa saskiego, wkrótce zaś zacznie snuć o dorównaniu królowi francuskiemu Ludwikowi XIV, który będzie dla niego wzorem przez cały czas rządów w Saksonji, a potem w Polsce.

St. St.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 30 **Niedziela, 23 lipca 1939** **Rok V**

Tegoroczne święto Republiki Francuskiej w dniu 14 lipca stało się nietylko we Francji, ale też w krajach sprzymierzonych okazją do zamanifestowania wspólnego frontu nietylko w zakresie ogólnej kultury, ale też polityki. Dawno już nie widziano w Paryżu takiego entuzjazmu, jak w tym roku: przyczyniało się do tego również zjawienie się w pochodzie żołnierzy angielskich, najbliższych sojuszników Francji. Na zdjęciu oddział piechoty pełniącej służbę w Annamie w pochodzie. *Fot. France-Presse, Paryż.*

ASY NUMERU 30-GO: NAFTA — OSIĄ POLITYKI. Jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszego wieku jest bezwątpienia walka o naftę potrzebną do uruchomienia nietylko przedsiębiorstw przemysłowych, ale też... do prowadzenia wojny. (Str. 4—5.) — O OPERZE FILOZOFA. Jak opera napisana przez wielkiego filozofa J. J. Rousseau, przyczyniła mu bodajże więcej „doraźnego" sukcesu niż jego dzieła filozoficzne. (Str. 12—14). — AMBASADORKA WIELKIEJ BRYTANJI. Ostatnia podróż angielskiej pary królewskiej do Kanady i Stanów Zjednoczonych wykazała wielkie zdolności reprezentacyjne królowej Elżbiety, która zdołała zyskać w pełni sympatję obywateli U. S. A. (Str. 15). — W DRODZE DO MILJONÓW. Przysłowiowym początkiem każdej wielkiej fortuny amerykańskiej jest... debiut przyszłego miljonera jako pucy-buta, warto też poznać jak przedstawia się światek, z którego wyjdą może potenci z 5 Avenue. (Str. 16—17). — **Z teki psychografologa:** RAFAŁ SCHERMANN OPOWIADA... (Str. 19—20). — **Z teki muzycznej „ASA":** NOWOGRECKIE PIEŚNI LUDOWE: Muzyka i słowa polskie Włodzimierza Poźniaka. (Str. 22). — WYSTAWA, KTÓRA ODDYCHA... Międzynarodowa wystawa wodna w Leodjum zgromadziła dużą ilość państw, posiadających swe pawilony rozrzucone w niezwykle estetyczny sposób na terenie wystawy. (Str. 25—26). Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Moda kobieca. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor i rozrywki umysłowe. — To co najcelniejsze w literaturze, na scenie, w radjo.



Robotnik z zagłębia naftowego.

NAFTA — OSIĄ POLITYKI

Jednem z najdonioślejszych w skutkach wydarzeń ekonomicznych ubiegłego stulecia było niewątpliwie odkrycie ropy naftowej. Dziś śmiało rzec można, że nafta swojem wkroczeniem na rynek światowy zapoczątkowała nową erę. Nadała życiu nerw, stworzyła nowy typ człowieka. Epoką naftową nazwą prawdopodobnie w przyszłości uczeni czasy, w których żyjemy.

I czyż nie wyda się wobec tego dziwnem, że nafta, która nadała nowe, zawrotne tempo naszemu życiu, której zawdzięczamy śmigłe samoloty potężną flotę, czołgi i bombowce, że ta nafta przez tysiące lat leżała bezużytecznie w ziemi, sącząc się gdzieniegdzie szczelinami górskiemi, używana conajwyżej jako lek na reumatyzm i choroby skórne?

Wprawdzie podobno kiedyś, bardzo dawno temu w Chinach, a później w Persji palono lampy naftowe. Zaginęły jednak bez śladu i niewiadomo, czy były bardziej prawdziwe niż owa czarodziejska lampa Alladyna z 1001 nocy...

Obudzenie śpiącej królewny — nafty z długoletniego snu nastąpiło na dobre dopiero w r. 1852. Rola szczęśliwego królewicza przypadła w udziale ubogiemu studentowi polskiemu Ignacemu Łukasiewiczowi. On pierwszy , coprawda za poradą profesora geologji na uniwersytecie lwowskim, Ludwika Zajsznera, zainteresował się dziwnym minerałem i po krótkich doświadczeniach oszołomił świat pierwszą lampą naftową. Naftę czerpał początkowo z płytkich studzienek w Borysławiu, później zaś z własnej, pierwszej na świecie kopalni nafty, założonej w Bóbrce na Podkarpaciu.

Już w roli środka oświetleniowego wywołała nafta w świecie gorączkę w niczem nie ustępującą słynnej kalifornijskiej gorączce złota. Do Polski począł napływać kapitał an-



Olbrzymie cysterny nafty zasilą wkrótce cennym płynem liczne pociągi, które wyruszą w świat.

Poniżej: Ogólny widok Borysławia, posiadającego charakterystyczny dla terenów naftowych wygląd. Fot. Jan Szwedo.

gielski i amerykański. Rosły nowe szyby. Szybko powstawały i jeszcze szybciej umierały nowe fortuny. Robotnik polski okazał się urodzonym wiertaczem. Dawał sobie doskonale radę w tak trudnym terenie, jakim ze względu na swój skład geologiczny są tereny naftowe w Polsce. To też później, gdy wykryto naftę na innych półkulach, wiertacz polski poszukiwany był przez nafciarzy całego świata, a w kopalniach Indyj Holenderskich, Mezopotamji i Kalifornji rozbrzmiewał język polski.

Gdy w roku 1860 wykryto bogate złoża nafty w Ameryce, wkroczyła ona triumfalnie w świat. Wprowadził ją potężny protektor „Standard Oil Company", ludzi zaś ogarnął istny szał. Rozpoczął się zażarty bój o naftę, choć wówczas jeszcze nie śniło się nikomu nawet w przybliżeniu o roli, jaką w przyszłości odegrać miało „płynne złoto". Na giełdach w przeciągu kilku sekund tracono i zdobywano miljonowe fortuny. Więcej jednak, o wiele więcej przybyło światu nędzarzy niż magnatów.

Prawdziwą jednak potęgą, poruszającą maszyny i wpływającą na bieg polityki światowej stała się ropa naftowa z chwilą wynalezienia silnika spalinowego.

Odtąd walka trustów naftowych przeradza się w walkę narodów. Zapoczątkowują ją naród angielski i amerykański, później zaś, gdy wykryto naftę w Persji i Turcji przybywa nowa rywalka — Rosja. Zaczyna płynąć krew. Nafta jednak ma wyższą wartość od krwi ludzkiej. To też bez opamiętania i litości wydzierają z wnętrza ziemi ten drogocenny surowiec zachłanne, bezwzględne rekiny ludzkie. Aż wysychać poczną wyczerpane krótkowzroczną polityką mafij nafciarskich złotodajne źródła, a nad światem zawiśnie widmo głodu naftowego. Stanie się to w r. 1920, czyli właśnie wtedy, kiedy dzięki doświadczeniom dopiero co przebytej wojny należycie oceniono znaczenie nafty, która niejednokrotnie decydowała o zwycięstwach i klęskach państw.

Nic dziwnego więc, że po wykryciu nowych źródeł w Indjach Holenderskich, Meksyku, Mezopotamji i Persji walka rozpoczyna się na nowo z jeszcze większą zaciekłością niż przedtem. Obecność nafty w jakimkolwiek kraju pociąga za sobą nieodwołalnie rewolucje i wojny. Przykładów dość, dostarcza ich Persja. Mossul, Sowiety, Meksyk. Z drugiej zaś strony od bogactwa posiadanych zasobów naftowych uzależnia się pozycja państw. Nafta obecnością swą ułatwia zawieranie korzystnych umów i transakcyj. Jest przynętą, zdolną skusić najoporniejszych.

Sowiety, posiadające najbogatsze pokłady naftowe w Europie, zawdzięczają swojej nafcie uznanie przez Waszyngton w r. 1933 i korzystne traktaty z Włochami i Francją w latach 1933 i 1934.

Zaiste nieograniczone są możliwości nafty. Czyżby więc ostatecznie miał zwyciężyć ten, komu najdłużej wystarczą posiadane zasoby? Obawa przed słusznością tego przypuszczenia zmusza ludzkość do poszukiwań za naftą

Dokończenie na str. 28-ej.



Odkręcanie świdra. Fot. L. Szulc, Bitków.



Praca w kotle. Fot. Czerny, Bitków.



Wiertacze. Fot. Czerny, Bitków.



Poniżej: w labiryncie szybów naftowych.
Fot. Jan Szwedo.

ZALESZCZYKI - POLSKI MERAN

Perłą letnisk Podola są Zaleszczyki, położone w jarze Dniestru, który w tem miejscu zatacza duże półkole, oblewając z trzech stron półwysep, na którym rozłożyło się to bardzo licznie obecnie odwiedzane letnisko.

Swoisty klimat Zaleszczyk, różny od klimatu ogólno-polskiego czyni je uzdrojowiskiem skutecznem w leczeniu różnych chorób, zwlaszcza chorób nerek, nerwicy i bólów reumatycznych, a przedewszystkiem są one doskonałem miejscem wypoczynku dla rekonwalescentów, potrzebujących słońca, wypoczynku i spokoju, oraz kuracji owocowej.

Oprócz tych walorów czysto zdrowotnych, są one doskonałym punktem wypadowym do wycieczek, po polskich pasach dopływów Dniestru, lub też do pobliskich





miejscowości, słynnych ze swego pięknego położenia, czy też ze znajdujących się tam zabytków architektonicznych. Zwolennicy sportów wodnych mogą tutaj swobodnie oddawać się ich uprawianiu, gdyż Dniestr daje gwarancję przeżycia wielu przygód w kajakowej wędrówce po jego wodach. Dlatego też można się tutaj nie tylko leczyć, ale rozkoszować pięknemi widokami i rozkoszami turystyki. Jeżeli do tego dodamy, że warunki pobytu w Zaleszczykach umożliwiają każdemu wygodne miłe i tanie wakacje w licznych przytulnych tutejszych pensjonatach i willach, wówczas stanie się jasnem, że Zaleszczyki należą do letnisk najbardziej odwiedzanych nie tylko przez Polaków, ale i Rumunów.

Na ilustracjach naszych widzimy najmilsze atrakcje letnie Zaleszczyk, tj. plaże, a mianowicie plażę cienistą (u góry) i plażę słoneczną (obok).

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Tak śliczne znaczki wydała ostatnio Belgja i Węgry, że należałoby właściwie odłożyć dalszy ciąg popisu wykonania albumu do następnego numeru. Ale przeciwnie: nad znaczkami przedstawiającemi najcelniejsze dzieła Rubensa zastanowimy się innym razem, a nie wątpimy, że i wówczas artykuł poświęcony w ogólności wielkim mistrzom sztuki malarskiej pokaże je także na czołowem miejscu.

Technika heljograwurowa obu seryj osiągnęła w nich swe szczyty, natomiast nowy sposób druku wielobarwnego wprowadzony przez francuskie wytwórnie przyniósł ostatnio coś całkiem niespodziewanego. Słynny obraz Fragonard'a „list", będziemy mogli jednak pokazać wkrótce tylko w jednokolorowej reprodukcji.

Nawiązując do rozpoczętego tydzień temu rozważania nad wyborem i rodzajem albumu, zastanówmy się teraz, jak powinny wyglądać same kartki. Otóż brzegi muszą być najzupełniej gładkie, a rogi zaokrąglone.



W pierwszym i drugim rzędzie oraz po bokach w rzędzie trzecim serja znaczków belgijskich wydanych ku czci wielkiego malarza XVII wieku Rubensa, rząd trzeci i czwarty — najnowsze znaczki węgierskie.

Wyzłocenie brzegów można zalecić oczywiście wszystkim tym dla których różnica kilkunastu złotych nie gra roli.

Kolor papieru powinien być tylko biały! Odcieni białości jest jednak tyle, że i tu trzeba się poważnie zastanowić, aby „nie wpaść". Przedewszystkiem dlatego, że trzeba być już naprawdę bardzo doświadczonym, by odróżnić papier bezdrzewny od zwykłego. Najpoważniejsi zresztą zbieracze nieraz uwierzyli zapewnieniom dostawców i... po kilku latach „klęli" widząc jak kartki na których wylepili swe skarby przybierają powoli kremowy odcień, a potem żółkną na dobre.

Jeśli chodzi o grubość kartonu, nie można nikomu doradzać czy to sztywnego czy też wiotkiego papieru. Pierwszy typ niezbędny jest bowiem dla specjalistów, natomiast zbiory ogólne tylko wtedy mogą być układane na kartkach kartonowych, gdy właściciel przeznacza na swój zbiór conajmniej pół szafy.

Witold Horain.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPan Marian Ciupiński, Piotrków Tryb. Odpowiedzi listownych nie udzielamy. Cenniki zakupu znajdzie Pan w ogłoszeniach firmy Witkowski — Poznań Al. Marcinkowskiego, ale materjał, o którym WP. wspomina, zalicza się tylko do t. zw. masówki. Wszystkie firmy warszawskie, krakowskie itp. poszukują zresztą zwykłych znaczków polskich dla wymiany masowej z zagranicą i mają swoje stałe ceny zakupu.



IDEAŁ
KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ

Czasy dzisiejsze z standartem w życiu i modzie ujednostajniły do tego stopnia typ kobiety, że przedstawicielki płci pięknej różnych krajów nie różnią się niemal między sobą. To też mężczyźni niejednokrotnie już sarkali na ten „standart". Skonstatowawszy jednak, że „głową muru nie przebije", powiedzieli sobie: „Dobrze! zgadzamy się na tę piękność robioną podług szablonu, upodabniającego wszystkie kobiety do jednego modnego w danej chwili „ideału". Ale odtąd, zgodnie z powyższem hasłem — interesują nas tylko kobiety idealne w pełnem tego słowa znaczeniu. A zatem, jeśli któraś z pięknych pań zechce (a któraż by nie zechciała) pozyskać nasze względy, natenczas musi sprostać wszystkim, stawianym przez nas warunkom, dającym w sumie ideał kobiety 1939 roku".

A więc:

Musi być kobieca i energiczna, samodzielna i mieć jakieś zajęcie. Tak, koniecznie jakieś zajęcie, gdyż dzisiejsi mężczyźni zapowiedzieli: Nie znosimy więcej „luksusowych zwierzątek".

Musi mieć nie tylko dużo smaku, czaru, ale także coś wyrafinowanego..., a przytem jeszcze dużo prostoty, a nawet troszeczkę naiwności dziecięcej. Nie powinna być zbyt młoda (najlepiej, gdy ma około trzydziestki, a wygląda na dwadzieścia).

Musi być smukła i zgrabna. W jaki sposób zachowa linję — to obojętne. W każdym razie konieczne są: codzienna gimnastyka, dużo sportu i wogóle dużo ruchu. Może nawet mieć zdobytych kilka rekordów — oczywiście nie zawiele — nie tyle, by trąciło to męskością, odbierało kulturę i grację. Musi być zawsze czarująca, elegancka, dobrze ubrana, musi umieć tańczyć i flirtować dyskretnie.

Z taką tylko kobietą można zaryzykować małżeństwo. Jako pani domu, nawet w najskromniejszych warunkach, powinna zachowywać się jak wytworna kobieta w wytwornie urządzonym domu.

Musi być muzykalną, sentymentalną i posiadać dużo bujnej fantazji (o tak! bujna fantazja w małżeńskim duecie, to czasem zbawienie!). Jeśli n. p. taką muzykalną małżonkę o bujnej fantazji przebudzi czasem chrapanie męża, nie przerwie mu ona zasłużonego odpoczynku, nie będzie go uciszać, ale przeciwnie — te dzikie nieraz pomruki „pana stworzenia" bujna wyobraźnia przetransponuje w melodyjny akompanjament, przy dźwiękach którego zpowrotem padnie w błogie objęcia Morfeusza.

Kobieta idealna wie, że kochająca „żoneczka" potrafi znaleźć piękno we wszystkiem, co czyni mąż i co go otacza. Potrafi ocenić urok ubrań, które on lubi i w których czuje się wygodnie.

Idealna kobieta jest wyrozumiała. Wie, że mężczyzna tak przywiązuje się do starych krawatów, spinek, ubrań i t. p. przedmiotów, iż ma dla nich więcej sentymentu i tkliwości, aniżeli dla czegokolwiek innego na świecie... Wówczas jest idealną towarzyszką w pełnem tego słowa znaczeniu.

Dokończenie na str. 28-ej.

Na lewo: Kobieta musi dbać o swą urodę.



Kobieta powinna być wysportowana...



Kobieta powinna być elegancka...



Poniżej: Kobieta powinna być smukła... (nie chuda!).

Wiary odwieczne

JAN WIKTOR

FRAGMENT POWIEŚCI

Ks. Bielawa pędził przez wieś, zaciskając pięści i grożąc komuś ochrypłym głosem.

— Ja wam pokażę!

Ludzie obrzucali go drwiącemi spojrzeniami.

— Co on wydziwio?

Wzburzony wikary spostrzegł i zrozumiał uśmiechy i spojrzenia. Chciał zawrócić, aby ukryć się gdzieś zdala od wszystkich. Wiedział jednak, że w czterech ścianach będzie się szamotał, jak więzień w kaźni. Zawierucha ognia przewiała przed oczami. Postanowił iść do ks. Worka i na jego piersiach wypłakać, czy wykrzyczeć swoje przeżycia i wybłagać wędzidła, mogące poskromić jego nieokiełznaną duszę.

Minął kobietę wracającą z plebanji. Już ją o nic nie pytał. W przechodzie cień jego padł pod jej utrudzone stopy, grzęznące w sypkim piachu.

— Takie moje życie, taka moja praca: bezsilny cień rzucony pod nogi nieszczęśliwego człowieka.

Wiedział, że w niczem jej nie ulży.

Już zaleka powitał go donośny łoskot młota, wylatujący z małej kuźni.

— Błazusiak.

Ilekroć przechodził do księdza Worka, zawsze wstępował choć na chwilę do starego kowala. Lubiał siąść na pniaku i patrzeć na proces rozżarzania się żelaza, wsłuchiwać się w gromkie uderzenia, nadające kształt przedmiotom, potrzebnym rolnikowi do orki, kośby, żniwa. Nieraz chwytał młot i ciął, kuł. Kowal wsparty na stylisku obok ogniska z dobrotliwym wyrazem upominał zapaleńca.

— Za prędki jesteście. Trza żelazo ostudzić, żeby zahartowało się. Kowalska praca jest święta i nie każdy człowiek zdatny do niej i powołany. Sierp, pług, motyka, brony, wsyćko do ziemi na dobre człowiekowi. Ilem już sierpów, kos, pługów wyrobił przez swoje życie. Anibym nie policył. Juzbym chyba z pół świata zoroł i zezął. A noze com wykuł, to nie krzywdę, ino do chleba. — Krew go nie splamiła. Święty zawód. Wase ręce jegomościu choć Boga piastują nie są zdatne do takiej roboty. Usarpiecie sie, namozolicie, a ino ręce pobrudzicie.

— Obmyję potem.

— Prowda znów nigdy rąc, ani dusy nie zmurdzo.

Błazusiak nigdy swego zawodu nie przeklinał, toteż nigdy go ogień nie parzył, kości nie bolały, a pot choćby spływał strumieniami był dla niego chustą ocierającą twarz.

Ks. Bielawa nieraz długie godziny spędzał na przyzbie, a w czasie pogwarek słyszał zdania pełne mądrości krzepiące go i dźwigające nieraz z wątpienia. Młodego księdza dziwiła pobożność chłopa, będąca mieszaniną pogaństwa i chrześcijaństwa, miłości Boga widzianego oczami praojców, mieszkającego w starych drzewach i gromach, a mającego twarz Chrystusa, głoszącego dobroć. Na pytanie jak to można połączyć, ten heretyk patrząc w niebo, to słuchając szelestu świętych lip, powiedział:

— Dusa chłopska to jest taka jak wielki kamień wydarty z ziemi i świzo pobielony. Ale to bielenie dysc spłuko i zostanie twardość, a tej ani krzyż nie skrusy, ani święcono woda nie zmyje, ani ogień nie spoli.

Rozprawiali o tajemnicach życia, świata, człowieka, on młody z hukiem, z szumem, wyrzucając gromy w kurzawie plew, ognia i piachu, a ten stary prosty człowiek powoli mówił, z namysłem, jakby z dojrzałego kłosa wyłuskiwał dorodne, pożywne ziarna. Z prawd głoszonych, jak od świtowej zorzy, zwiastującej narodzenie słońca, unosiła się świetlistość nad nędznym padołem. Ks. Bielawa miotany niepokojem, w najcięższych chwilach zawsze znajdował dwie przystanie w kuźni i na plebanji starego proboszcza.

Teraz pragnął, aby weń piorun uderzył i zdruzgotał jego szaleńczą duszę. Kiedy usłyszał odgłosy pracy, skręcił na boczną ścieżkę, obok której wyrosła świeżo zbudowana kuźnia. Spojrzał na stertę kół, sprzętu gospodarskiego, przyniesionego do okucia i w czeluść wnętrza, gdzie przy ognisku stał smukły kowal. Ze współczuciem pomyślał, że ten nieznany przybysz odbierze chleb starcowi.

Naprężyły się ramiona ks. Bielawy wszystkiemi muskułami, aby coś czynić, przerzucać, podnosić, zagubić wspomnienia w łoskocie młotów, roztłuc myśli, strumieniami potu zalać trawiący go żar. W całem ciele, mocnem, gotowem do wysiłku znać było, że dźwignie nawet największe ciężary, podejmie się najbardziej męczącego mozołu. Przestępując próg kuźni Błazusiaka, uchylił kapelusza.

— Pochwalony...

Błazusiak, nie wypuszczając żelaza z obcęgów, odwrócił głowę ku przybyłemu, błysnął zębami, widać uradowały go szczerze odwiedziny. Odgarnął siwe włosy, zlepione na czole. Czarne zwichrzone brwi, zwisające nad niebieskiemi oczami, jakby się rozwiały, okazując jasność i pogodę spojrzenia.

— Dobrze żeście przyszli — odblask z ogniska spłynął na wargi. — Wybierołem się do wos, ale jakoś schodziło. Coś wom mom opowiedzieć.

— Cóż takiego.

— Pockojcie ino skończę. Dużo roboty teroz nie ma. Ludzie się odwrócili demnie — chwycił za rączkę miecha, który nadymał swoje opasłe brzuszysko i parskał złym oddechem w kopczyk rozżarzonych węgli.

— Dawno was nie odwiedzałem i widzę znaczne zmiany. Ktoś wam wlazł pod sam nos. To was pewnie gniewa, że chleb chcą wam z zębów wydrzeć.

— Jegomościu — kowal odpowiedział prosto, bez żadnej zawiści — przecie on tyz głodny, chce tyz jeść z dziećmi. A dzieciom trza chleba. I za to byłbym zły? Co mu będe zozdrościł? roboty? Mom kurteckę na święto i mom drugą na powsedni dzień, tę budzinę i styry ściany na mieskanie. Poco mi więcej, poco mi majątki. Mom mieć zgryz, mają mi mole psuć. A tak nie boję się ani ognia, ani złodzieja i w spokoju żyję. Jo tu chwilowy. Mocie ptoska, motyla, kwiotka, cy zbirają majątki? Żyją w pieknościach, śpiwach, woniach, jakich nie mają balsamy. Jo mom bogactwa, wicie jakie? Książki do modlenia i cytania, a z niemi nima nijakiego utrapienia, mole nie zepsują, złodziej nie zrabuje.

— Za dużo ufacie ludziom. Gdzież to bywa, żeby w kuźni nie było drzwi, ani okien, wszelki sprzęt zostawiacie bez opieki. Wchodzi kto chce, a pełno na ścianach narzędzi, pełno ludzkiej roboty, węgla.

— Przed kim będę zamykał? Przed braćmi, których nigdy w nicym nie ukrzywdziłem? Jakbym zamykał, toby ich kusiło, a przed złodziejem niema nijakich zamków. Ja nikomu nie ukradnę to myślę, że i mnie nikt nicego nie weźnie. Jo nie dzisiejsy człowiek i wierze kozdemu, niema we mnie złości, to ludzie tyż nie mają do mnie złości. A jakby kto wziął, to pewnie mu było potrzeba, pewnie bidniejsy odemnie. Niechze mu to słuzy na chlib, na dobre. Jakbym go zemścił, to mi ulzy? Powiem wom, że mi nigdy nic w kuźni nie zginęło, ani tyle co za pazdurem. Trza mieć zaufanie do ludzi.

Ten chłop zawstydził księdza i upokorzył prostą prawdą, wypromienioną z duszy, bo w tych słowach podał mu okruchy ewangelji.

Błazusiak wyrwał gorejące żelazo, przekre-

ślił powietrze błyskawicą, położył na kowadle i wziął rozmach.

— Pomogę wam — Bielawa popluł w garść, ujął młot i dźwignął. Zanim spadł cios, kowal uważnie patrzący rzucił z nienacka.

— Coś wom jest, nijak nie możecie sobie dać rady z cymś.

— Nic mi nie jest, tylkobym chciał duszę z siebie wydrzeć i cisnąć na kowadło.

— Łacwij żelazo przekuć jak dusę.

Bielawa wkładał w uderzenia nie tylko wysiłek mięśni całego ciała, ale zaciekłość wyszarpywaną z najgłębszych pokładów duszy i w takt łoskotów powtarzał.

— Co uczynić, aby duszy dać nowy kształt, aby dla wszystkich była dobra?

— Pofolgujcie, nie tak ostro — upominał kowal — wsyćkie siły wysiepiecie ze siebie i całkiem zasłabniecie. W robocie tyż trzeba mieć nie zapalczywość, ale mądrość i statecność.

Mimo upomnień starego ks. Bielawa walił z zaciekłością. Wybłyski ognia strzelały jakby gwiazdy pokruszone z pod gwałtownych ciosów. Rozpryski żaru padały na twarz, ręce, zostawiając czerwone, boleściwe piętna.

— Odzipnijcie kapkę. Wyście nie zwycajny takiej roboty — cisnął w koryto odłam przekutego żelaza. Zaskwierczała woda, buchnęła chmura pary. — Wyjdźmy na chłodek.

Siedli na ławie w cieniu drzew, pochylających nad dachem konary zachmurzone świeżo poczętemi liśćmi. W piersiach ks. Bielawy huczała krew, żyłami się przelewała. — Zdrowy puls uderzał równo i coś druzgotał swojemi ciosami.

Tuż za miedzą złociła się świeżo wzniesiona kuźnia, w głębi jej żarzyło się ognisko, okazując czarne postacie.

— Jednakże na złość wam tak zrobił, przecież mógł na drugim końcu wybudować tę budę.

— Za późnoby się dowiedzioł o mojej śmierci, a tak codziennie będzie widzioł, cy jo jesce dychom.

— Każde uderzenie młota waszego będzie mścił i modlił się, żebyście przestali pracować.

— Trudno rada. Nie od jego mocy, ino od Pana Jezusa. Jeźli mi On wyjmie z ręc młotek i obcęgi, to wtedy odpocnę i póde do innej kuźni, W słonku bede żelazo rozpoloł, gwiozdy bede kuł i na niebie przybijoł. I teroz tutaj ziemskimi sprawami będę się martwił i dusę brudził? Krzywda nigdy nie pokrzepi, krzywda zawdy chudobi. Ludzie widzą ino ten okrajecek ziemi, a nie patrzą w wiekuistość. A kożdy z nos w sobie nosi scęśliwą wiecność i królestwo Boże. Modlić się, to znacy rozmowiać z Bogiem o dobroci i miłości, o piekności i wielkości świata i o radości życia. W światłości idziemy, ale światłość trzeba miłością rozpolać.

— Któż tak rozmawia z Bogiem? Kto tak rozpala serca, aby Bóg mógł dojrzeć takie ogniska?

— Skrzywdzonyś, powiedz: bracie; przeklętyś, rozewrzyj ramiona do uścisku i uśmiechnij się, a wtedy Boga uradujesz i jaśniej się zrobi w niebie.

— W przerażeniu przed sądem i piekłem patrzy człowiek w oblicze Boga, a modlitwa jego to płacz uwięzionych na okręcie miotanym burzą i niesionym w przepaść na zatratę. Czyste, nieskalone usta dziecka cieszącego się słońcem uczymy straszliwych wyrazów „grzech śmiertelny", „ból", „cierpienie", „potępienie" i duszę jasną, poczętą z Bożego tchnienia zamykamy w ciemnym lochu. Kwiatuszek z ziemi wyrastający na wiosnę, tchnący wonią przygniatamy straszliwym głazem. Kto milszy Bogu, czy dziecko wśród kwiatów, czy Hiob na gnoju, czy płacz, czy przekleństwo towarzyszące bólowi, czy uśmiech zrodzony z dobra. Więcej uśmiechów stworzył Pan niż łez.

— I mnie się dziwicie, że nie zamykom dźwirzy? że nie gromadzę ziemskich majętności. Poco kłódki, zomki, łańcuchy, kryminały? Pracuj i nie marnuj darów Bożych, to będzie na świecie spokój. Jo drzwi nigdy nie zamknę, bo wierzę, że drugi jest taki jak jo. W piśmie świętem stoi: nie wolno pożądliwie pożryć na cudze. A co dopiro tknąć. Jo się nicego nie boje, nikomu nie podligom, nikt mnie na powrózku nie prowadzi i nikomu tu na ziemi nie powiem panie. Ten jest „Pon" — uniósł palec do góry z czcią. On Jeden.

Chwilę milczeli.

Z błękitów wyłaniały się obłoki wciąż zmieniając kształty

— Coście mieli mi opowiedzieć?

— We śnie widziołem różności.

— Ech, sen mara.

— Jak jaki sen. W snach głos Boży zwiastuje swoją wolę.

Dzieci uganiające opodal, skoro zobaczyły dziadka, porzucały zabawę i stawały obok. Starsi wracający z pola zatrzymywali się i kręgiem otoczyli starca. Zapatrzeni i zasłuchani z warg podejmowali słowa jakby objawione świętości.

— Śniło mi się tak, że umarłem i mom iść na drugi świat. Ciała niby nimom, duchem jestem, a cuję na sobie nieudźwigniony ciężor. Mom na sobie przyodziwę, wstyd powiedzieć, tę co teroz i te buciory.

— Do Pana Jezusa w takich łachach — westchnęli obecni.

— Ano trudno. Idę, idę. Zased mi drogę wartownik i pyto: gdzie ty idzies?

— Do Matki Boskiej — mówię.

— Nie pódzies, bo tam jest straśnie pustać i nie do ci iść.

— Z Panem Jezusem idę. — To co innego — rozchylił zogatę: idź ale wołoj: Synie Boga żywego ratuj mnie. — Trowa zeschnięto i spolono. Niebo niby pogodne, niby pomrocone, ale jakby umarte. Jest słonko, ale bez dusy świetlistej, jest miesiącek, ale jakby mara z grobu podźwigniona, są gwiazdy, ale pogasone. Żeby jakiś ptosek zaśpiwoł. Nic. Żeby kwiotek kogo uweselił. Nic. Ziemia płono, popiołem zasypano, a z tego popiołu ino wyziera tarnina i oset. Znać jakie to złe, chciałoby pokłuć i pokalicyć. Najmniejso drzewinka liśćmi nie drgnie i nie zasuści. A kajś wrona zawrzasła, to mnie jaze zatrzęsło, takie to było obmierziałe. Patrzę, ktoś idzie, zbiero skołe, rozciro w garściach i sieje oburąc i sieje... Bedzies ty mioł duzo z takiego sionio — myślę. — Zol mi się go zrobiło, chcę przemówić, a on mnie mijo, idzie do końca, wraco bruzdą. Roz poźroł na mnie nic nie powiedzioł, a okrutną boleść wyjawił: tak jo zawdy bedę, bom skrzywdził i bidoka od mojego pola odegnołem. Póty bede sioł, póki nie wyrośnie kłosek z tych kamieni. Ale kiedy wyrośnie? — Idę dalej, a hań na kamieniu ktoś siedzi. Wspiro głowinę na ręce takusienko, jak frasobliwy Pon Jezus w kaplicce. Widać umęcony, ustał w połowie drogi i odpocywo. Na nim gurmana tako jaką u nos nosą, ale troche odmieniono, bo rękawy mo obcięte i od dołu tyz skrócone.

— Cego siedzis — pytom go. A jemu przez palce ciurkiem łzy się poloły. Toś ty? Cego nie idzies dali? co haw robis? — Chce przemówić, a nie może jednego słowa wypowiedzieć, ino palcem pokazuje na rękawy i na spód, jakby kozikiem rzezoł. Juzem wiedzioł co chce. — Będę siedzioł do sądu ostatecznego, bo Boga nie widzę. Żebym sed to i tak nie dojdę. Zawdy w tamtym miejscu mom cekać, bo niegodzien jestem oglądać światłości niebieskiej. — A cego? — Bom wziął co nie moje, zdarłem żywcem przyodziwę. Musę oddać. — Chciał teroz rozodziać się, sarpał rękami. Nijak nie mógł. Łachy przyrosły do ciała, a ciernioki gałęziami go owinęły i nijak nie dały. — Musę tak za pokutę. Choćżem duchem, ale cirpię po ludzku.

— Jezu Miłosierny, to mój — jęknęła kobieta, kryjąc twarz w zapasce.

— Iście twój — spojrzał uważnie Błazusiak. — Poznołem go po gurmanie i po licu. Ino nie wiem za co cirpi.

— Obydwojeśmy zrobili. Bida była u nos— szloch rwał jej słowa. — Zwlekliśmy ją z ojca kiedy lezoł w trumnie. Poco mu do grobu. Nie było w cem pochować. Sukmana była za wielko na mojego, tom obcięła rękawy i od dołu, a dałam inny kołnirz i tego jest odmieniono.

— Cierpi sromotę. Na tej przyodziewie płac ciąży i tego twój nie może nijak dźwignąć i dojść do Pana Jezusa. Oddej.

— Cóż oddom, kiedy tamta się potargała i łachy wyrzuciłam. Tyle zebroł z tego świata.

— Krzywdę.

— Co robić, żeby on wysed z tego uciemiężenio i żeby go wybawić?

— Weź nojlepszą przyodziwę idź w świat, spotkos chudobną kobitę, co będzie płakała: ej Boże, Boże, umarła mi mama i ni mom ich w cem pochować. — Wsyćko dej.

Znowu gromadka się zbliżała.

— Swoku jak sie miewocie?

— Cicho — obecni nakazywali milczenie, przykładając palec do warg. Tamci na palcach szli, jakby przestępowali próg kościoła. Niejedna z kobiet przyniosła motykę, aby

Dokończenie na str. 18-ej.

ŻNIWA NA PODHALU
Fot. dr Reiss (Wojnicz)



IZABELA FREIMANÓWNA

O operze FILOZOFA



J. J. Rousseau, autor „Emila" i opery „Le devin du village".

Nielada niespodzianką dla wielu będzie stwierdzenie faktu, że J. J. Rousseau posiadał również i talent kompozytorski, że był autorem — jako librecista i muzyk w jednej osobie — kilku oper, z których „Le devin de village" czyli „Wróżek wiejski" wiele swego czasu narobił hałasu. A jaką miarę należy przykładać do tej sprawy — pouczą nas może najlepiej słowa samego Jana Jakóba. Oto one: „Tak to ów drobiazg, owa opera (Le devin de village), która mnie kosztowała trzy tygodnie pracy, przyniosła mi więcej popularności, a nawet materjalnej korzyści, aniżeli później „Emil", owoc 25 lat myśli, 3-ch lat pracy!" [1]). W innym miejscu Rousseau pisze o sobie: „Powołany jestem na filozofa — urodziłem się jednak napewno dla muzyki, jako że ją od dziecka po wszystkie czasy stale kochałem, kochałem namiętnie, uczyniłem z niej umiłowane dla siebie zajęcie, którego rezultatem jest to, że porobiłem w niej pewne odkrycia — znalazłem błędy, wskazałem możliwości poprawy. Urodziłem się dla muzyki, ale nie po to, by spędzać życie na wykonywaniu jej, ale aby przyspieszyć jej postęp" [2]).

Rousseau nie był dyletantem w muzyce. Reprezentował on typ świadomego artysty, który dzięki niezwykłej intuicji i wszechstronnemu talentowi stał się prekursorem wielkiego przełomu w muzyce, którego dopiero w sto lat później dokonał Ryszard Wagner, tworząc dramat muzyczny.

Rousseau'wi udało się wywołać w muzyce francuskiej ferment i wprowadzić do niej elementy rewolucyjne. Stało się to przez utorowanie drogi wpływom i formom włoskim. Musimy pamiętać o tem, że była to epoka, w której przez drugie już stulecie (bo od roku 1600) panował styl dramatyczny: operowy i oratoryjny. Opera, która powstała we Florencji pod nazwą „drama per musica" stworzona przez Peri'ego i Caccini'ego, stała się uświęconą formą we wszystkich większych miastach Italji. Nie ominęła i Francji. Ale we Francji zatraciła swój włoski charakter. Włosi bowiem kochają śpiew dla śpiewu samego: w operze włoskiej dominuje więc „bel canto". We Francji tworzy operę narodową Jean Baptiste Lully. Poprzedzona ciężką uwerturą o schemacie: grave, allegro, grave — jest opera francuska w owym czasie „nudną psalmodją". — Nazwa „tragédie lyrique" trafnie określa styl opery francuskiej: jest to pseudoklasyczna tragedja w stylu Racine'a i Corneille'a z muzyką i służy, jak cała ówczesna sztuka apoteozie króla Ludwika XVI. Poprostu jeszcze jedno koło w maszynie propagandy Króla-Słońca. W tym też celu w ostatnim akcie opery francuskiej Lully'ego ma miejsce t. zw. apoteoza, w której osobiście występuje król (opery były wystawiane na dworze) w przebraniu głównego bohatera, co wymownie podkreśla intencję autora.

Podczas gdy w sztuce francuskiej rządzi służalcze kłamstwo i koturnowy frazes — pod lazurowem niebem Italji rodzi się nowa forma: czarująca lekkością i prostotą opera komiczna (buffo). Pergolese — dziwnym trafem właśnie ów melancholijny kompozytor kościelny — pisze swą kapitalną i wkrótce cieszącą się na wszystkich scenach niesłychanem powodzeniem operę komiczną „La serva padrona".

Rousseau czuje intuicyjnie, że przeszczepienie tej formy do muzyki francuskiej byłoby otworzeniem okna w dusznym pokoju. Świeżym powiewem w ciężkiej atmosferze fałszywych pochlebstw i „nudnych psalmodyj". Wtedy to pisze swoją operę: „Le devin de village".

Ciekawe są okoliczności narodzin „Le devin de village". Rousseau miał krewnego i przyjaciela w Passy p. Mussard, u którego spędzał często czas przeznaczony na odpoczynek i kurację. Było im dobrze razem. Mieli wspólne zamiłowania: muzykę, zwłaszcza namiętnie lubili obaj włoską operę buffo. Wiele też i często rozprawiali na ten temat. Pewnej nocy po takiej dyskusji Rousseau nie mogąc zasnąć, zaczął rozmyślać, w jaki sposób możnaby publiczność francuską zapoznać z tą nieznaną jej dotąd formą. I tak naprędce — w łóżku już niemal — sklecił kilkanaście wierszy i podłożył pod nie muzykę, która zrodziła mu się na poczekaniu w głowie. Owe trzy ustępy: 1) „J'ai perdu mon serviteur". 2) „L'amour croît s'il s'inquiète" i 3) „A jamais, Colin je t'engage" — wywołały następnego dnia szczery zachwyt i poklask towarzystwa. Pobudzony tem powodzeniem Rousseau naszkicował w następnych dniach całą operę i wykończył w przeciągu trzech tygodni. Teraz zapragnął gorąco usłyszeć swe dzieło. Niepowodzenie jego pierwszej opery: „Muses galantes" skłoniło go do przedstawienia „Wróżka wiejskiego" w operze pod obcym nazwiskiem. Nazajutrz po próbie powszechnie mówiono o ogromnym sukcesie autora „Wróżka".

* * *

Intendent zabaw królewskich p. de Cury postanowił wystawić operę na dworze. W Operze nie zgodzono się na to. Stąd wybuchł spór o takiem nasileniu, że omal nie doszło do pojedynku między p. Duclos a p. de Cury. Ostatecznie Opera ustąpiła i „Wróżka" wystawiono w Fontainebleau. Przedstawienie odbyło się z wielką pompą. Sukces był olbrzymi. Dostojni goście wypełnili salę. W loży królewskiej król Ludwik XV z panią Pompadour! A biedny filozof w wytartem ubraniu, skromnej peruce i z nieogoloną brodą najchętniej byłby się zapadł pod ziemię.

I pomimo, że według samego autora „sztuka — jak powiada w Wyznaniach — była źle grana pod względem aktorskim i tylko muzycznie dobrze wykonana — damy, piękne jak anioły mówiły między sobą: to cudowne, urocze! każdy ton przemawia do serca!" — Król zapragnął poznać autora i wyznaczyć mu stałą pensję ze swej szkatuły. Rousseau odmówił przyjęcia, bo przyjąć znaczyłoby utracić niezależność. Tembardziej nazwisko jego było na ustach wszystkich. Oskarżono go o pychę; czynili to głównie ci, którzy nie zdobyliby się na krok podobny w takiej sytuacji. Król był tak zachwycony, że „nie przestawał śpiewać głosem najfałszywszym w całem królestwie: „Straciłam mego miłego, straciłam szczęście moje"... Bo też urocza ta sielanka w niczem nie przypominała słodkawych i mdłych, a tak dla tych czasów charakterystycznych form tego rodzaju! Albert Jansen w swej rozprawie „Rousseau als Musiker" powiada: „Der Devin du village" ist die einfachste und doch interessanteste Pastorale der Französischen Bühne". Promieniuje ona naiwnością wiejskiego krajobrazu i przynosi powiew ożywczego powietrza ośnieżonych Alp, którem Jan Jakób oddychał w dzieciństwie.

* * *

Operę Rousseau'a niestety nie wystawiono u nas od niepamiętnych lat (niegdyś grano ją w rezydencji Sapiehów w Różance na Litwie). Dlatego też nie można było znaleźć ani jednego egzemplarza partytury w księgarniach krakowskich ani w Bibljotece Jagiellońskiej ani w księgarniach i bibljotekach innych miast polskich. Trzeba było ją sprowadzić wprost z Paryża. Fakt ten mówi sam za siebie. Melodje aryj „Wróżka" są pełne wdzięku i zachwycają swą prostotą. Akcja opery rozgrywa się pomiędzy trzema osobami, jak to było w zwyczaju intermediów (jeśli występowała czasem osoba czwarta, była to t. zw. „opera muta" czyli osoba niema, jak to ma miejsce w „La serva padrona") — owe trzy osoby to: Colin — pasterz, Colette — pasterka, Le devin — wróżbiarz, czy też wróżek wiejski.

Pasterka Colette kocha pasterza Colin. Jednakże niewierny Colin porzuca pasterkę „pour une plus adroite et moins belle dame de ses lieux", a więc dla brzydszej wprawdzie, ale chytrzejszej i bogatej damy. Colette rozpacza. W prostych słowach i pięknej melodji wyśpiewuje swój ból: „J'ai perdu tout mon bonheur, j'ai perdu mon serviteur, Colin me délaisse..." (straciłam mego miłego, straciłam szczęście moje etc.). W przypływie ostatecznej rozpaczy postanawia udać się do wróżbiarza; on jeden wiedząc wszystko, znajdzie może jakiś sposób na niewiernego: „il sait tout, il saura le sort de mon amour". Wróżbiarz przyjmuje od Colette pieniądze i wzamian przyrzeka jej użyć swej czarodziejskiej sztuki i przywrócić jej płochego Colin'a, który według niego, mimo, że ją zdradził, kocha ją nadal. Zrobił to jedynie z próżności, lecz tę obelgę musi jej wynagrodzić! — Colette zdaje sobie sprawę z tego, że i ona, gdyby, zechciała mogłaby znaleźć wielu bogatych adoratorów z miasta. „Si des galants de la ville j'eusse écouter les discours, ah, qu'il m'eut été facile de former d'autres amours!..." — lecz jej prawe serce wzdryga się przed tem. Wróżbiarz, znawca ludzi doradza jej udawać przed Colin'em obojętną i niewierną „L'amour croît s'il s'inquiete!... il s'endort s'il est content!... — gdyż miłość wzrasta, gdy się trwoży! „et la bergère un peu coquette rend le berger plus constant"... — i gdy pasterka jest trochę kokietką, pasterz jest bardziej stały.

Colin ze swej strony też odwiedza wróżka. Tak więc wróżbiarz jest z dwóch stron poinformowany o tej sprawie, stąd też obie strony zadziwia swą rzekomo czarodziejską wiedzą. Od Colin'a wie o tem, że ten kocha dalej Colette i że w gruncie rzeczy chciałby do niej wrócić. Żeby go ukarać i zatrwożyć

Dokończenie na str. 24.

---

[1]) J. J. Rousseau: „Wyznania" VIII.

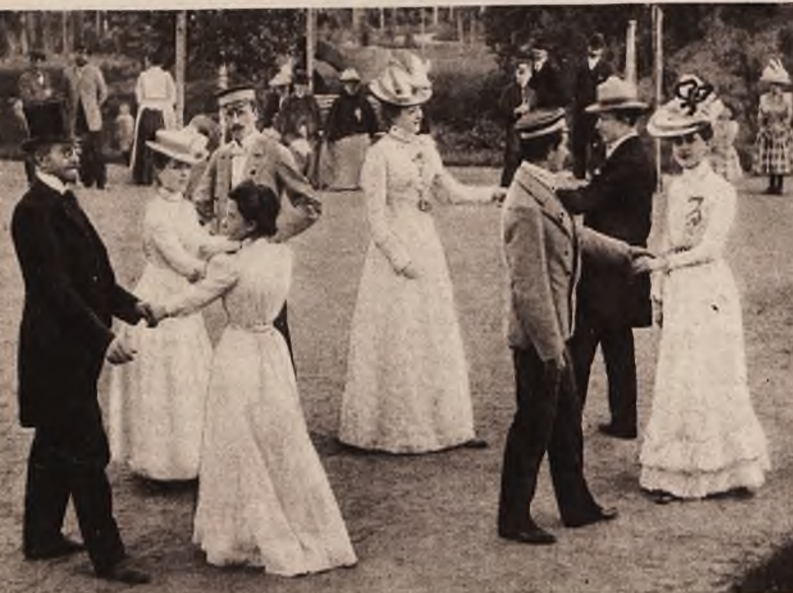
[2]) J. J. Rousseau: Oeuvres complétes — VIII. 128.

WCZORAJ

Samochód z r. 1905 — był wehikułem, którego romantyzm psuł brak konia i zupełna niepewność w którą stronę ruszy pojazd, by wpaść na najbliższy płot...



Zastygłe w upozowanym bezruchu postacie pań i panów na tej fotografji — mają świadczyć o dobrym tonie i świetnie udanej zabawie ogrodowej w r. 1905.



Tę zdumiewającą plątaninę drzewa i drutów nazywano w r. 1910 jednopłatowcem „Harlan", który dokonał z 5 pasażerami „rekordowego" lotu z Berlina do ...Johannisthalu.



DZIŚ

A oto nowoczesny kabrjolet o aerodynamicznych liniach i harmonijnej barwie zapewnia bezpieczeństwo, szybkość i łatwość obsługi.



Czasy się zmieniły. W demokratycznym dancingu nowoczesnym pieniądz stanowi właściwie jedyną legitymację wstępu a swoboda zachowania się nie przypomina ubiegłych lat.



Dla smukłego — o pięknych i logicznych kształtach samolotu współczesnego nie ma już dziś właściwie zbyt wielkich dystansów, ani przeszkód w powietrzu. Linje współczesnych samolotów opasały cały świat.



Szwajcarja i Holandja

BOGDAN BRZEZIŃSKI

ILUSTROWAŁ CHARLIE



— Buciki z drzewa? Też mi nowość! U nas nosi się już całe ubrania z drzewa!

Dlaczego opisujemy za jednym zamachem Szwajcarję i Holandję — kraj gór i kraj nizin? Otóż dlatego, że obydwa te kraje stały się nagle modne, z powodu pewnego pana z wąsikiem, który powiedział sobie, mlaskając językiem (niemieckim):

— A na wety — sery!...

I raptem wyciągnął rękę po czerwoną kulę sera holenderskiego i po wielkie koło smakowitego sera szwajcarskiego. Ale fortuna kołem szwajcarskiego sera się toczy! — jak powiedział pewien filozof genewski.

Anglicy, Francuzi, Polacy i inni przyjaciele pokoju powiedzieli sobie:

— Wety za wety! Wy nam grozicie — to i my wam pogrozimy!...

I fatalnie skrzyczeli pana z wąsikiem. Nawet mr. Pax, człowieczysko nader potulne, stracił swój anielski spokój i zamienił gałązkę oliwną — na tępe narzędzie, żeby w razie czego było coś twardego pod ręką...

Tak więc narazie górska Szwajcarja i nizinna Holandja mogą spać spokojnie! Ale z tem spaniem, to tylko zwrot retoryczny, bo ani ci, ani tamci spać nie potrafią — a w każdym razie spać wtedy, gdy trzeba pracować! Holendrzy są tak pracowici, że potrafią budować zamki wprawdzie nie na lodzie, lecz — na morzu. Jak to się robi? Otóż bierze się kawałek zatoki, wodę się odcedza, a na mieliźnie buduje się miasta.

Poza serem i ziemią, wyrwaną morzu, Holandja odznacza się jeszcze wiatrakami, Rembrandtem, księżniczką Juljaną oraz tem, że w Holandji wszyscy jeżdżą na rowerach. Podobno nawet konduktorzy tramwajowi jadą obok elektrowozu na rowerze i podają pasażerom bilety przez okno wagonu!...

Co do księżniczki Juljany, to ta miła i sympatyczna księżniczka tem różni się od naszej Wandy — że jednak chciała Niemca. Niemiec zresztą okazał się bardzo do rzeczy, a jego miłość do księżniczki holenderskiej, jak widać, to nie żadna „lippa", gdyż żyją bardzo szczęśliwie, błogosławiąc niewysychającą krynicę łask Boskich, oraz naszą polską Krynicę, gdzie bawili w czasie podróży poślubnej...

Rembrandt był malarzem. Był to dziwny figlarz, który przeważnie tylko tym sprzedawał swe obrazy, którzy mieli manję chowania ich na strychu, żeby w 300 lat później odnalazł je ubogi student i zaniósł do antykwarjusza, który na widok ciemnego, jak typ, obrazu, zawołał z niebywałem zdumieniem:

— Ależ to Rembrandt — oryginalny Rembrandt!

I bez wahania płaci ubogiemu studentowi dwa miljony franków, jeśli rzecz dzieje się w Paryżu, a 50.000 funtów, czyli ok. 20.000 kilo, jeśli rzecz dzieje się w Londynie. Najczęściej takie „odkrycia Rembrandta" wydarzają się dziwnym trafem w lecie, kiedy jest kanikuła, a redaktorzy nie chcą już drukować bajeczek o wężach morskich i tym podobnych kaczek...

Co to są natomiast wiatraki — wszyscy wiedzą. O facecie, który chce dokonać niemożliwej rzeczy, naprzykład o ministrze, który chce walczyć z biurokracją, mówi się, że walczy z wiatrakami — chociażby nawet minister był podobny do nieboszczyka Don Kichota, jak piernik do wiatraka.

Holendrzy chodzą na codzień w pidżamach z barwnego materjału oraz w drewnianych pantoflach, które nazywają się: saboty. — O każdym robotniku w warsztacie, wyrabiającym saboty, można powiedzieć, że — sabotuje. Ale mimo to nie wyrzucają go z posady.

W Szwajcarji natomiast mieszkańcy nie chodzą w sabotach, ale po górach. Gór w Szwajcarji jest zgórą tyle-a-tyle. Najpopularniejsze szczyty, to Mont Blanc i Jungfrau von Schweitz. Szwajcarja jest uroczym krajem, dokąd się jeździ w podróż poślubną, albo też po rozwodzie, żeby odetchnąć wreszcie pełną piersią. Zimą jeździ się do St. Moritz. Jest zdumiewające, że dotychczas ta



Uciekajmy, tutaj straszy duch pokoju!



— Może się podzielimy tym serem?
— O ile pana znam, to pan weźmie ser, a mnie zostawi dziurki!

miejscowość się nie przechrzciła — naprzykład na : St. Zbysław, albo St. Chlebosław. Dlaczego Moritz?... Szwajcarzy przeważnie pasą krowy, albo pasą się kosztem turystów. Krowy mają dzwonki na szyjach, a turyści dzwonią pieniędzmi. Każdy turysta musi w Szwajcarji wejść, a przynajmniej wjechać uzębioną kolejką na jeden ze szczytów, oraz zwiedzić pałac Ligi Narodów, gmach, w którym jest wiele sal — ale niema oddawna pokoju...

Szwajcarzy dzielą się na Szwajcarów: włoskich, francuskich i niemieckich. Mówią też powyższemi trzema językami. Ale we wszystkich trzech językach potrafią powiedzieć:

— Nie! Od sera odepchnąć się nie damy!!

Szwajcarja słynie też z wyrobu zegarków, oryginalnych szwajcarskich. Taki zegarek chodzi, jak zegarek i w lombardzie dają za niego o 5 złotych więcej. Najgłośniejszym Szwajcarem był niejaki Wilhelm Tell, pierwszy mistrz świata w łucznictwie. Dla podkreślenia sympatji dla Szwajcarji, żydzi nazwali jedno ze swoich miast w Palestynie — Tell-Aviv...

Nieopodal Szwajcarji leży księstwo Liechtenstein. Kraj ten liczy ok. 10.000 mieszkańców. Przez jakiś czas liczył także — na Niemców i chciał oddać się pod protektorat III-ej Rzeszy. Ale w porę zrozumieli Liechtensteinczycy, że to byłby pomysł bardzo „niedorzeszny" i zachowali swą niezawisłość — to znaczy, że nie zawiśli na niemieckiej szubienicy...

Jak zaznaczyliśmy, mieszkańców Liechtensteinu jest zaledwie 10.000, ale mimo to mieszkańcy tego księstwa mają ambicje „mocarstwowe".

Gdy w rodzinie jednego z kupców przyszły na świat dwojaczki, sąsiedzi kupca mówili z dumą:

— Jeszcze rok, jeszcze dwa, a dzięki takim dzielnym małżeństwom staniemy się potęgą równą — księstwu Monaco!!

O księstwie Monaco napiszemy w następnym rozdziale „Wesołego przewodnika".

AMBASADORKA WIELKIEJ BRYTANJI



Podczas swego pobytu w Kanadzie wręczyła królowa chorągiew szkockiemu pułkowi w Toronto, poczem odbyła jego przegląd.



W czasie przepływania Oceanu: królowa i król uzbrojeni w pływaki przyglądają się ćwiczeniom ratowniczym załogi.



Jako księżna Yorku otrzymała obecna królowa w uniwersytecie w Oxfordzie tytuł doktora praw h. c.







Od lewej: Mała miss Beryl Groom, najmłodsza baletnica w Sadler's Wells Theatre wręcza królowej po przedstawieniu bukiet kwiatów.

Na wystawie przemysłu wielkobrytyjskiego zwiedza królowa dział **z w i e r z ą t** zrobionych z różnych materjałów.

Królowa poznaje swoich poddanych: wizyta w obozie Indjan w Calgary, Kanada.

Królowa Elżbieta przyjmuje defiladę pielęgniarek jako ich „commander in-chief" w towarzystwie jednego z oficerów brygady ambulansowej.

Kryzys konstytucyjny spowodowany kilka lat temu zamiarem króla Edwarda VIII-go zaślubienia pani Wally Simpson, wykazał dowodnie, jak Anglicy zapatrują się na zalety wymagane na stanowisku królowej.

Gdy na tronie zasiadł obecny król Jerzy VI i jego małżonka Elżbieta, Anglja odnalazła swój ideał — parę młodych ludzi, szczerze się kochających, przywiązanych do swych dzieci, chętnych w wykonywaniu monarszych obowiązków i chcących być nietylko symbolami politycznymi Wielkiej Brytanji, ale przedewszystkiem serdecznymi opiekunami angielskich rodzin.

Stało się też tak, że każda z żon królewskich synów inną niejako objęła rolę w życiu politycznem i towarzyskiem Anglji: królowa jest wzorem cnót domowych, jest szczerą opiekunką wielu kobiecych organizacyj, szpitali, instytucyj dobroczynnych, jest też — jak okazała jej ostatnia podróż po Kanadzie i w U. S. A. — dobrą ambasadorką wielkości W. Brytanji, gdyż umie kaptować swym urokiem serca nawet najbardziej „czystych" republikanów. Żona księcia Kentu, Marina ks. grecka jest reprezentantką wielkiego tonu, elegancji, czaruje swemi sukniami i swym uśmiechem, jest żywym klejnotem o wielkiej urodzie i wielkiej... pewności siebie. Trzecia wkońcu księżna of Gloucester, jest wzorem wielkiej damy, mniej strojnej, ale w tonie bardziej „ancien régime", bardziej „antycznym", o ile to można powiedzieć o młodej i pięknej kobiecie. Czwarta wkońcu synowa — mrs. Wally Simpson née Warfield — żona księcia Windsoru jest uroczą... sensacją królewskiego domu, posiada wielu sympatyków, zwolenników i wyznawców, ale w kołach bardziej kosmopolitycznych. Lecz te walory towarzysko-modowe nie wchodzą w grę: Anglja, podobnie zresztą jak Francja coraz bardziej, zwłaszcza wobec tak ciężkich zadań jakie ją czekają — zdaje sobie sprawę, że wartość osób kierujących w rządzie nie polega tylko na ich błyskotliwości i na ich walorach zewnętrznych, ale przedewszystkiem na ich wartości wewnętrznej, która pozwoli im przebyć niejedną ciężką próbę. To właśnie nastawienie czyni królowę Elżbietę tak bardzo popularną w kraju, w którym nie byle czem ludzie się zachwycają. JGM.

W drodze do miljonów



Powyżej: Przed wejściem do biura, w którem się pracuje, należy wpierw postarać się aby buciki lśniły się jak złoto.



Ciężki zawód czyścibutów spełniają w Ameryce również kobiety.



Oto typowy obrazek amerykański: nie tracąc czasu zatapia się przechodzień w lekturze gazety, podczas gdy mały chłopak czyści mu obuwie.



Poważną konkurencję dla ulicznych czyścibutów stanowią zakłady, gdzie czyszczenie obuwia odbywa się przy pomocy elektryczności.

Z podziwem czytamy, że Morgan, Ford, czy inny wielomiljoner zapłacili „samego podatku“ tyle-to-a-tyle miljonów dolarów. I doprawdy — raczej żywimy tylko uczucie podziwu, niż zazdrości.

Niemal zawsze zdajemy sobie bowiem sprawę, że nas nie stać na takie wysiłki, na taką zaciętość, z jaką owi miljonerzy całe życie dążyli do celu, jaki sobie za młodu wytknęli: stanowisko miljonera!

Stany Zjednoczone są ojczyzną ludzi arcybogatych. Jeszcze teraz panuje tam wspaniały urodzaj na miljonerów. Kto nie wstydzi się pracy i ma choćby odrobinę sprytu i woli „zrobienia majątku“ może liczyć na powodzenie. Może stanąć do wielkiego wyścigu o bogactwo. Chciałem napisać: do wyścigu o szczęście... Ale zawahałem się. Czy bowiem bogactwo zawsze daje szczęście?...

Można w każdym razie zgóry założyć, że Amerykanin, który postanowił zostać miljonerem, nie ma czasu na szczęście... Nie jest to paradoks. „Bussinesman“ jest tam zazwyczaj także — „self-made-man'em“, człowiekiem, który wszystko sam sobie zawdzięcza. A ileż przeszkód piętrzy się przed człowiekiem, który nie otrzymał ani wykształcenia, ani dobrego nazwiska, ani pieniędzy! Podobno większość miljonerów amerykańskich zaczynała swoją oszałamiającą karjerę od skromnej roli sprzedawcy gazet, lub czyścibuta. W wywiadach z wielkimi potentatami niemal zawsze powtarza się ten refren:

— Gdy miałem lat siedem zostałem gazeciarzem... Dziś mam dwa miljardy dolarów!

Albo też:

— Byłem czyścibutem. Gdy miałem dziewięć lat, zaoszczędziłem pierwszą setkę dolarów... Dziś jestem królem pasty do obuwia. Zatrudniam dwadzieścia tysięcy ludzi...

U nas czyścibutami są przeważnie inwalidzi, ludzie starzy, kończący swoją drogę życia. Nigdy żaden czyścibut polski nie został miljonerem. Chyba, że w chwilach wolnych od zajęć grywa na loterji...

W Stanach Zjedn. ludzie dbają o wygląd obuwia bardziej, niż u nas. A poza tem — brak służby domowej powoduje, że bardzo często amerykański gentleman wychodzi na miasto w zakurzonem, lub naweta wręcz zabłoconem obuwiu. Z przykrej sytuacji ratuje go skwapliwie — czyścibut. Jest ich bardzo wielu. Rezydują u fryzjerów, na przystankach kolei podziemnej, w parkach, na ulicach... Za 5 centów można w sposób zdumiewający — odmłodzić buciki... Przyszli miljonerzy są zawsze solidni. Pracują bez zarzutu. Swoich 5 centów zarabiają uczciwie. To też trudno znaleźć w miastach amerykańskich szanującego się obywatela w bucikach, które nie lśnią, jak reflektory...

Ale kto pojedzie do Nowego Jorku na wystawę światową, niechaj nie patrzy na małych czyścibutów, jako na przyszłych miljonerów. Niektórzy bowiem nie mają przysłowiowego „łuta szczęścia“„ bez którego nawet amerykański czyścibut nie zostaje bogaczem.

Zdaje się, że jest jednak sporo słuszności w tej znanej anegdotce o amerykańskim miljonerze, który na pytanie, jak doszedł do majątku, odparł z powagą:

— Gdy miałem osiem lat, byłem czyścibutem... Po roku miałem już dziesięć dolarów... A w dwa lata później otrzymałem w spadku trzy miljony dolarów i jakoś udało mi się nie wydać ich dotychczas...

B. B.



Przed czyścibutem Amerykanin nie posiada tajemnic: nawet flirt telefoniczny odbywa się w obecności tej popularnej a jednak nic nie znaczącej osobistości.



Nowojorscy pucybuci udają się na swoje „posterunki“.



Nawet w parkach publicznych można dać sobie wyczyścić buty...



W różnych publicznych miejscach znajdujemy w Ameryce specjalne „placówki“ czyszczenia butów t. zw. „shoe shine parlor“.



Również podczas golenia lub strzyżenia włosów klienci oddają swe obuwie w opiekę czyścibutom.

Wszystkie zdjęcia Fot. Keystone — New York.

Ciąg dalszy ze strony 10-tej.
Błazusiak naklepał, sierp, aby zazębił, ale nie śmiała prosić. Czasem Błazusiak cichnął, przypominał sobie pewne szezegóły. Lipy wstrząśnięte podmuchami szeleściły. Czasem oderwany liść spadał zmieniony chyba w ludzki głos.

— Dali widzę las. A tam nima ani gwiozd, ani miesiącka, ani nijakiego światełka. Nic tu nie weseli, ino strachem przejmuje. Duchało zimnicą. Znowu wartownik się pyto: — kaj idzies? — Do Matki Boski. — Nie przejdzies, bo las jest bardzo ołempny. Dojdę, bo z Panem Jezusem idę. Jak dojdzies to wse musis wołać: Jezusie, Synu Boga żywego ratuj mnie.

— To dobre były te warty — westchnęły babiny.

— Oj dobre, bo poucały.

— Las, nie las. Same umarte drzewa W środku polana i gronik.

— Jak wysoki? — spytał ksiądz.

— Dość ta, dość ta pagórek nie mały i bystry. Na uboczy kaj nie kaj kępka suchej trowy i muchu, ale dużo więcej kamieni. Żeby dojść na wirch, to trzeba się namordować. Od dołu idzie trzech chłopów. Syrokie w barach. Widać siłę w sobie mają. Tocają trom pod górę.

— Gruby?

O piekny tromik, na przycieś byłby zdatny — ramiona szeroko rozłożył — możebym objął rękami. Kto to? Nijak nie mogę poznać. Chyba nie Jasiek z zo ławy, ani Bartek z brzysków, ani Adom ze samorodów. Ni. Inni byli. Zgarbioni pchają. Nie sporo im sło, ale jakosiś ta sło. Kierpce potargane zesuwały się i aż litość było patrzyć na pokalicone nogi. Gdzie stąpnęli, to krew zostawiali. Pot sie z nich loł. Ale zoden z nich nie mógł obetrzeć. Ino pot zmywał ślady wycieconej krwi, żeby nie cirpiała przeklęto.

— Pewnie mają co budować na wirchu?

— Nie było widać nijakiego drewna. Chcę im pomóc. Co ukrocę, to mnie cofło, co chcę ręką rusyć, to ręka jak martwo, albo w powrozie. Myślę sobie, już nie będą się długo mordować, wnetki dotocą i odpocną. Jesce łokieć, jesce pół — juz rówienka.

— O Jezu to juz dotocyli — z radością wyrzekli obecni.

— W te razy coś sie odmieniło. Pniok wydarł sie im z garzci — ledwo zdolili uskocyć i du du du, po ubocy, po kamieniach. Nic nie pomogło zatrzymać. Oni za nim, za nim w dyrdy.

— Trzeba było podłożyć kamień.

— Cy woli bożej sprzeciwis się? Oparło się dopiro na dole. A oni jak zaklęte podłożyli ręce, wysarpali z miejsca i pchają na nowo. I tak roz za rozem. Ich dzień nimo końca i nie do ani na ocymgnienie odpocąć. Tak wciąz wytocają i nijak ni mogą wytocyć.

— To mój tam był — zajęknęła wdowa po Lizoniu.

— Był.

— I mój — załkała wdowa po Barnasiu.

— Był.

— I mój — zaszlochała wdowa po Brzezinie.

— Wsyćkich trzech poznołem i nad nimi się uzoliłem, ale tam i płakać nad nimi nie dało. Kto tam zapłace, to kamienie padają pod ich nogi.

— Z łzów kamienie rosną.

— W trzech ukradli drzywka Kulawemu Wojtkowi, co mu ludzi ochwiarowali na chałpę. Bidok naprzeklinoł ich. Z jego pomsty tako kara.

Wdowy oplotły sie ramionami i związane nieszczęściem już nie płakały, aby z ich łez kamienie nie wyrosły, tylko błagały o ratunek.

— Doradźcie, co robić? jak ulżyć?

— Długo trza cekać, oj długo. Będą tocyć do sądu bożego, jaże zetrą drzywkiem ten gronik. Idźcie krzywdę naprawić, idźcie sercem pomogać.

— Księdzaście tam gdzie nie widzieli? — coś wyrzuciło z piersi Bielawy to pytanie rozpalone do czerwoności.

— Jakby było inacej?

— Na jaką karę był skazany?

Rozpostarła się cisza. Błazuziak długo ważył słowa, po chwili dopiero zaczął.

— Powiem wom kiedyindziej. O tem wielka gwara.

Potem trzeba było przejść przez bramę do izby. Na ścianach nie było nijakiego obrozka, ino pod powałą belka pieknie cyfrowana. Na środku świetlicy okrągły stół, a na nim miska zawdy pełno. Kozdy, co tędy przechodzi musi zjeść choć jedną łyżkę, ale i tak nigdy jodła nie ubywo. Widzę Marysię Baraścyno i pytom sie, co tu jest, a ona mówi, że to czyściec, a hań temi dźwirkami niechrzczone dzieci przechodzą. — Tylem drogi zrobił, ale mnie nogi nie bolały. Coś mnie ciągło: idź, idź dalej, żebyć scęśliwość wiekuistą obocył. Idę, idę... jaze zasedem nad rzykę. Jak tu przejść. Głębina. Woda wartko leci ,a kłębcy się, a hałasi. Co nogę postawię, to prąd mnie chyto, ciągnie na dno. Jo krzyce: Jezusie. Topielec tracił siłę i wypuścił mnie z pazdurów. Obyrtło mnie i cisło na brzyg. I takdo trzech razy. Wsyćkie kości mnie bolały, taki byłem potłucony na kamieniach. — To juz się chyba nigdy nie dostanę na drugą stronę. I taki mnie zol chycił, bo com poźrol, to hań słonecko wybłysło i pokazywał się piękności świat. Jak tak siedzę i patrzę, a hań ktoś wartuje. Niepozorny był chłecyna. Jakisić odmieniony, cy to chłop, cy to mnich, cy ksiądz. Nie wiem. Pyto się.

— Co chces grzyśniku? — Scęśliwości wiekuistej i idę do Matki Przenojświętszej — nie pójdzies. — Cego nim mom iść? — Boś jesce nie godny i zabrudzony. — Tylem razy wpod do rzyki. — No, to dobrze. Tak mo być. Aleześ ani razu nie zaklął, inoś wołoł Panie Jezusie, to dom ci łaskę i puscę przez most.

— A kajze jest? — I w te razy widzę ten most. Jezusie.

— Z drzewa? Syroki?

— Hę? Gdzietam. Nie z drzewa, nie syroki. Nad wodą dygoce włosiej cieniuśki, jak jedwobno nitka. Słysę cichuśki głos: idź. — Idź, ale jak tu przejść, kiej mom takie ciężkie nogi, kiej dźwigom tyle grzychów z całego życio. Juz chyba tam się nie dostanę. Przecie to pięknie pod moimi buciorami. A miołem na nogach te — jak widzicie — pokazał wielkie spękane chodaczyska, chyba z bukowego pnia wyrobione. — Juzem śmielsy ,bo ktoś wstępuje przedemną na tę nitkę. Niesie go w powietrzu. Słonko się zaćmiło.

— Pewnie zgrzysył i słonko się zasmuciło i nie chciało pokazać drogi.

— Woda chlupała. Cisło nim, prasło w głębinę.

— Niegodny.

— Niegodny i potępiony. Już go więcej nie widziołem. Jo wtedy za kapelus zegnom się, mówię pocirz: ej Wiekuisty Boże dopomóż, ej Przenojświętso Panienko poratuj i nie opuść. Znowu słonko wyjrzało, a miało lica wesoluśkie. Patrzę, a tu nitka dygoce, jakby złoty promycek. Pęknie, stargo się. To nic. Moc we mnie wstąpiła. Idę raźno. Cuję lekkość w sobie. Malutki wiaterek mnie niesie jak tę chmureckę po niebie. Ino zebym w tym ocymnieniu nie zgrzysył, ino zeby to boskie światełko nie zagasło, ino zeby to septanie nie zgłuchło. Chybnęło mną parę razy, alem się strzygł i nie dołem dostępu grzychowi. W środku poźrołem, a w topieli pełno potępionych. Nitka podemną... i juz...

— Jezusie! — ktoś przerażony zawoła i ucichł, skarcony spojrzeniem wszystkich.

— To wom nie dało przejść...

Zebrani widzieli ową nić, przędnącą się z promienia ponad wodnym odmętem pełnym przepaści, wirów. Bez tchu słuchali, patrząc na ową pajęczą przędzę, nie mogąc doczekać się kresu wdrówki. Struchleli nie śmieli zapytać, czy dojdzie, czy runie.

— I wicie za łaską boską dosedem.

— Chwałać Panu Jezusowi — westchnienie ulgi wyrwało się z piersi słuchających.

Błogosławiona nić wciąż dygotała, jaśniała nad otchłanią, wiodąc w przestworza niebieskie. Wzrok ich spoczął na ciężkich, zbłoconych buciarach. Nie mogli pojąć i zrozumieć tego cudu. Boć przecież nieżyjący człowiek mógł przejść, chyba mógł tylko przewionąć obłok, nie mający ciężaru, a jeno sam mgielny kształt.

Błazusiak nie oderwał oczu od swoich widziadeł, nie zmienił głosu, gdy snuł swoją opowieść.

— Coś mnie podpierało. Wiem co. Anieli przytrzymywali paluskami ten promycek i skrzydłami mnie osłaniali. Nie widziołem ich, alem cuł świętą obecność. Po drugiej stronie pola, łąk, takie ślicności ani wypowiedzieć. Ludzie jakieś ze sirpami chodzą. Widać nie upracują się, ino się ciesza bogactwem i plonem. Bo hań żyta, psenice, na ziemi tego nigdy nie bedziecie widzieli. Nad nimi słońce z kłosów. Tam świat jak najpiękniejsy kościół. Żeby to był kościół to nie, nie widać było ścian, ino jego samą świętość i ładność. Złota nie było, a złocistość biła. Bogactwo, ale ino ze samego bożego świata. Perły, ani djamentu nie uświadcył, bo na nich zawdy przekleństwo. Niedaleko stąd na łące chyba gwiazdy kwitły, tyle wsędzie było kwiotków, a każdy płatek ich świecił i pachnął. Widziało się, że ino palcem tknies, a te zgasną, ino wiaterek powieje i wsyćkie pokrusy. W powietrzu migotały ptoski i przeróżnymi głosami śpiwały: To one rozwijały wionuski nad Matką Boską z promyków śpiwających.

„Zacnijcie wargi nase chwolić Pannę Świętą
Zacnijcie opowiadać ceść Jej niepojętą".

— Jakze wyglądała Przenojświętso Panienka?

— Jakze miała wyglądać? Jak matka dobroci pełno. Co spoźrała na ludzi, co się uśmiechła, to jakby słonkiem błysła z za chmurki. A nom w ocach i w dusy zaroz robiło się jasno. Zapłakołem. Ona do mnie: cego płaces? — Jo patrzę na te piękności, a mojej nie widzę, a chciołbym i ją uciesyć, bo dobro była. Gdzie jest moja? — Pódź — migła palcem. — Twoja jest w dobrem miejscu, bo sprawiedliwie żyła i nigdy nie miała na sobie ludzkiej krzywdy i w pobożności swojej Boże majętności pomnożyła. Teroz jest scęśliwa, ogląda królestwo niebieskie. — Chcę ją całować, a ona sie uśmiecho, jakby gwiozdka na niebie się pokozała: pamiętoj, całuj mnie w palce od ręc nóg, bo jo jestem świeto nad świętymi, bom duzo się nachodziła po cirniach, po kamieniach i duzom się namordowała. A mojego syna kiej chces prosić, to zaświć dwie świcki. — Tak mówiła i wiedła mie po polach, po łąkach.— Widzis ją. — Hań na miedzy moja chytała promyki co jej ptoski znosiły i przędła satę dlo Pana Jezusa.

— Wasa i za zycio pięknie przędła.

— Teroz mo nagrodę. Dla samego Boskiego dzieciącia giełzecko ma prząść...

— Mojegoście nie widzieli?

— To miejsce było ino dla samych niewiast. Później tam pódę.

— A Kasprowa była?

— A Magda Halusina?

— A Józka z pod lasa?

— Były, były! To był roj. Co kto zapragnął to robił, nie z musu ino z ochoty, ze swojego scęścio, co było miłe, co dobre. Plecy słodkość mieli. Ani wypowiedzieć jak tam nikogo nie bolały, ręce się nie męcyły, ino słodkość mieli ni wypowiedzieć, jak tam było. Żeby to mozno wyjąć z ocu to, com widzioł, toby na tej ziemi, choćby była noc jaśniutko się zrobiło. Nimom takiego słowa, a gwiozdy w człowieku nie świcą.

Bielawa nie śmiał przerwać opowieści, widział wargi starca płonące świętym ogniem i pomyślał, że tak pewnie ludzie wybrani w objawieniu ogłaszają wieczyste prawdy. Jego smutki rozpłynęły się jak czarne obłoki, jego przeżycia zginęły w czystej krynicy, odbijającej niebiosa.

Słuchał. Nic nie mąciło wzruszeń podobnych do modlitwy.

Rafał Schermann spowiada

Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

W jednym wiedeńskim banku zniknął pewnego pięknego poranku pakiet akcyj. Wobec bezowocności wszelkich dochodzeń zwrócił się do mnie brat bankiera p. Reiter. Udałem się do banku, gdzie oczekiwał mnie dyrektor wraz z bratem. Przestudjowałem pisma wszystkich urzędników a dyrektor banku wyraził wobec jednego z urzędników podejrzenie odnośnie kradzieży, gdyż stwierdzono, że urzędnik ten wkrótce po zniknięciu pakietu akcyj zakupił sobie nowe kosztowne meble i powiększył znacznie garderobę. Nie można mu było jednak niczego wykazać, chociaż dyrektor banku przekonany był o jego winie. Oświadczyłem, że dyrektor znajduje się na zupełnie fałszywej drodze, gdyż urzędnik ten nie byłby zdolny do takiego czynu. Chociaż starano się mnie przekonać, przytaczając dziwny zbieg okoliczności zniknięcia akcyj i licznych zakupów urzędnika, nie odstąpiłem od mego zdania. Znalazłem bowiem wśród próbek pisma urzędników banku z krytycznego dnia to, czego szukałem.

Zapytałem dyrektora: — Czy nie mają panowie w banku urzędniczki, która o każdej porze chętnie je kiełbasę? W jej bliskości znajduje się zawsze trochę resztek tego wiktuału, który cieszy się u niej takiem powodzeniem, jak cukierki u innych kobiet.

Obaj panowie spojrzeli na siebie zdziwieni i poczęli się śmiać.

— On myśli zapewnie o pannie Emmie — rzekli równocześnie. — Owszem, jest taka w banku, ale co to ma wspólnego z akcjami?

Zdziwienie ich było do przewidzenia. Pismo tej urzędniczki wykazywało aż nadto dokładnie, że dziewczyna ta zdołała oszukać sprytniejszych mężczyzn niż byli nimi jej szefowie.

Pytałem dalej:

— Czy nie zauważyli panowie, że jest ona często niewyspana i rano gwałtownie ziewa? I na to pytanie otrzymałem potwierdzającą odpowiedź: dyrektorzy banku twierdzili, że urzędniczka ta jest anemiczna. Należało teraz usunąć podejrzenie, skierowane niesłusznie na urzędnika banku, to też oświadczyłem obu dyrektorom:

— P. Emma jest skończoną komedjantką i ma aż nadto powodów ukrywania swoich czynów. Poświęca ona wiele godzin dziennie na pisanie listów miłosnych, ma niezliczoną ilość adoratorów i wiele wieczorów spędza w lokalach rozrywkowych. Te właśnie okoliczności oraz nadużywanie alkoholu powodują jej senność. Tak jak się zgadza szczegół z kiełbasą tak też stwierdzam, że ona ukradła akcje. Wskazuje na to zdenerwowanie w jej piśmie z krytycznego dnia. Słowa moje przyjęli obaj panowie z wielkiem zdziwieniem, gdyż uważali ją za bardzo porządną osobę. Następnie otworzyliśmy szufladę tej urzędniczki i znaleźliśmy w niej liczne listy zapraszające ją do nocnych ~~lokali~~. Obaj bankierzy spoglądali na siebie zdziwieni, bo urzędniczka ukazała się im w nieprzeczuwanem świetle. Gdy spytali mnie o zdanie jak mają postąpić, poradziłem, aby odczekali chwilę, kiedy znów przyjdzie do biura śpiąca i zmęczona i aby oświadczyli jej wtedy kategorycznie, że ukradła akcje i sprzedała je. W takiej chwili przyzna się ona do winy zwłaszcza pod wpływem zmęczenia spowodowanego przehulaną nocą. W krótki czas później ziściły się wszystkie moje przewidywania: posądzony o kradzież urzędnik został zrehabilitowany, a komedjantka wpadła w zastawione sidła.

* * *

Postępy w zakresie prawa karnego idą niezwykle szybkiem tempem. Jednym z najważniejszych tematów w tej dziedzinie jest śledztwo. Kto bliżej się przyjrzy temu momentowi sądowego postępowania, dopatrzy się w nim dalszego ciągu tortur, które sto czterdzieści lat temu podobno skasowano. Wiemy jednak, że stosowano je „z powodzeniem" podczas wojny światowej, a nawet i dzisiaj spotykamy się z nimi w różnych krajach. Przesłuchanie przedwstępne daje prokuratorowi możność wyświetlenia pewnych podejrzeń by potem, po usunięciu ich, postawić oskarżonego na wolnej stopie. Kilka lat temu poczyniła pewna nowela do odnośnej ustawy wydanej w Rzeszy niemieckiej wyłom w nieograniczoności tego przesłuchania, a my zajmiemy się tym razem zagadnieniem jaką rolę może mieć psychografologja w służbie sądowniczej.

Oczywiście, że grafologja nieraz już została zużytkowana w praktyce sądowej, o ile jakieś pismo stanowiło „corpus delicti". Nieraz już biegli grafologowie zabierali głos w różnych sprawach o fałszerstwo testamentowe, o anonimowe listy, o wymuszenie itd. Chodzi tutaj jednak o to, abyśmy posiadali wskazówkę w jakim kierunku idzie podejrzenie, i wtedy porównujemy pismo oskarżonego z pismem sfałszowanem, a orzeczenie biegłego decyduje o winie podsądnego. Zdarza się jednak, że pismo zostało tak po mistrzowsku podrobione, że nawet sam fałszerz nie zdoła odróżnić go od prawdziwego i w takich wypadkach nawet najlepszy grafolog staje się bezradny.

W innem jednak położeniu znajduje się psychografologja dla której pismo nie jest tylko bodźcem optycznym. Zachodzi tutaj np. taki wypadek, że po porównaniu pisma sfałszowanego z pismem autentycznem zauważy psychografolog, że jeden z piszących był człowiekiem zdrowym drugi zaś chorował na serce. Sprawdziwszy przyczynę zgonu autora oryginalnego pisma będzie mógł sędzia wysnuć już pewne logiczne wnioski.

A teraz inny przykład: wiele lat temu otrzymał wiceprezydent miasta Wiednia liczne listy z groźbami i wymuszeniem podpisywane „czarna ręka". Policji udało się odkryć całą bandę opryszków, chodziło jednak o to, aby stwierdzić kto był autorem listów. Wobec tego, że wszyscy się wypierali zwrócono się do mnie. Oświadczyłem, że autor listów jest zapalonym amatorem „slöjdu". Przeprowadzona rewizja wykazała, że oskarżony posiadał istotnie potrzebne do tej roboty sprzęty.

Innym razem wezwano mnie jako eksperta w sprawie oszczerczych listów. Wprawdzie podejrzewano już kogoś o ten czyn, ale oskarżony nie zjawił się na rozprawie sądowej. Przyjrzawszy się jego pismu oświadczyłem, że mogę sądowi zademonstrować ruchy oskarżonego i jego chód. Pochyliłem się nieco naprzód, kroki stawiałem lekko, trzymając ręce luźno i rozsuwając palce, głową i szyją zaś robiłem ruchy przypominające żółwia. Rezultat tej demonstracji nie dał na siebie czekać: cały sąd i publiczność wybuchnęli śmiechem — ruchy te zaś faktycznie charakteryzowały oskarżonego.

I jeszcze jeden przykład przytoczony z praktyki sądowej: przed kilkoma laty wszczęła policja wiedeńska pod przewodnictwem radcy dworu Weinbergera dochodzenia w sprawie sfałszowanego podpisu na czeku. Pokazano mi pismo kilku podejrzanych osób, z których zafrapowało mnie zwłaszcza jedno. Postanowiłem podejrzaną osobę wystawić na próbę dyktując jej kilka słów na temat tej sprawy. Twierdziłem, że oskarżony w pewnej chwili, to jest kiedy właśnie ma napisać ważkie słowa wstrzyma się z pisaniem, pociągnie palcem wzdłuż pióra i później dopiero będzie pisał dalej. Wszystko odbyło się według moich słów, a komisja, która była obecna przy próbie czekała z zapartym oddechem na ową decydującą chwilę.

Te wszystkie przykłady wykazują jak wielkie znaczenie ma psychografologja w praktyce sądowej. Mówiliśmy o wypadkach „lekkich", ale jeszcze bardziej przekonywującymi są te, które odnoszą się do spraw kryminalnych, do morderstw, kradzieży itd.,

Fragment pisma autorki anonimów, która miała zwyczaj „obciągania" sukni.

99963

Oto pismo z którego psychografolog wywnioskował, że autor jego jest tapicerem.

Pismo człowieka chorego na serce.

gdyż czyny popełnione przez jednostki zbrodnicze zmieniają z gruntu ich życie wewnętrzne. Nie będziemy rozstrzygać zagadnienia czy istnieją urodzeni zbrodniarze, stwierdzimy tylko, że nie ręka pisze lecz mózg, to też musi pismo odźwierciedlać wzruszenie piszącego chociażby umiał on nazewnątrz zachować pozorny spokój.

Ciekawy rezultat da też porównanie pisma oskarżonego przed i po jego czynie. — Pismo też wskaże czy posiada on typowe zbrodnicze cechy charakteru, jak upór, brutalność, znajdą się jednak też wskaźniki co do powodów, dla jakich oskarżony popełnił przestępstwo, więc nędza, zemsta, zazdrość itd. W piśmie wkońcu zdołamy nieraz odnaleźć narzędzie zbrodni lub części łupu. Oczywiście, że wszystkie te wiadomości, jakie dać może pismo są bardzo ważne, najważniejsze są jednak wtedy, gdy zdołają zrehabilitować niesłusznie oskarżonego.

Przed kilkoma laty przysięgli stanu New Jersey, w Sommerville, zastanawiali się nad podwójnem morderstwem, które uczyniło swego czasu wiele hałasu. We wrześniu 1922 roku został w pewnej farmie zamordowany miejscowy pastor rev. Edward Hall oraz żona kościelnego Eleanor Mills. Wobec twierdzenia, iż oboje utrzymywali miłosne stosunki, przypuszczano, że mord popełnili pozostali małżonkowie, tj. żona pastora Frances Hall i kościelny Mills. Oboje wypierali się zarzuconej zbrodni; Mills jednak nie mógł wykazać swego alibi. Tak przedstawiała się ta sprawa w chwili, gdy byłem gościem w U. S. A.

Podczas pewnego posiedzenia w Nowym Jorku pokazuje mi prokurator próbki pism obojga oskarżonych. Przyjrzawszy się tym próbkom oświadczyłem kategorycznie, że ani pani Hall ani Mills nie brali udziału w zbrodni, jakkolwiek posiada ona charakter niezwykle energiczny i zdolna jest do gwałtownych czynów. Również Mills jest niewinny: pismo jego zdradza niezwykłe wzruszenie, gdyż w chwili, kiedy pisał te słowa nie wiedział czy zdoła udowodnić swoje alibi. Gdy powróciłem do Wiednia czytałem o tej sprawie w pismach amerykańskich. Oskarżonych wypuszczono z więzienia zpowodu braku dowodów, opinja amerykańska jednak zażądała ich ponownego uwięzienia, a do więzienia dostali się również bracia p. Hall. Proces ciągnął się przez cały miesiąc i wkońcu 5 grudnia 1926 r., tj. po trzech latach żmudnych przesłuchiwań i dochodzeń zostali oboje uwolnieni.

✠ ✠ ✠

Pewien właściciel domu towarowego otrzymywał od pewnego czasu różne anonimy, w których ostrzegano go przed niewiernością jego żony. Wobec tego, że podane szczegóły zgadzały się mniej więcej z trybem życia jego żony, przyszedł do mnie, aby się dowiedzieć, ile jest prawdy w anonimach. Przyjrzawszy się próbce pisma anonimów oświadczyłem mu, że autorka tego listu nosi długie suknie, gdyż posiada nogi niezwykle grube w kostce i chce ten mankament ukryć przed okiem ludzkiem. A gdy następnie obejrzałem próbki pisma jego urzędniczek, zaraz wynalazłem wśród nich pismo autorki listów anonimowych. Mogłem też mego klienta uspokoić, że podane w anonimach szczegóły są nieprawdziwe i że autorce chodziło jedynie o rozbicie małżeństwa. Klient mój, chcąc sprawdzić moje twierdzenie zwrócił pewnego razu baczną uwagę na nogi owej urzędniczki, a gdy ta uważając jego zaciekawienie za oznakę zawiązującego się flirtu, podciągnęła nieco suknię w górę, ujrzał rzeczywiście nieomal zdeformowane kostki jej nóg. Wniosek mój o długich sukniach i grubej kostce wysnułem z faktu, że pismo wskazywało na przyzwyczajenie, polegające na obciąganiu sukni. Na to zresztą wskazywały kreski i kropki nad literą „ü" i „i", jak również końcowe litery słów.

PSYCHOGRAFOLOGJA ODSŁANIA CHOROBY.

Z pracy dr. med. J. Grünwalda z Wiednia pt. „Moje przeżycia z Schermannem", wyjmuję następujący ustęp: „Sukcesy psychografologa Rafała Schermanna opierają się głównie na tem, że on jako pierwszy rozpoznał, iż tłumaczenie pisma sięga grubo poza utarte w niem formułki i prawidła, stanowiąc naukę nie mechaniczną, lecz duchową. Psychografologja pozostawia daleko poza sobą szkolne przepisy grafologji, sięgając aż do rzeczy tajemnych, dając się jednak skontrolować nawet w szczegółach. Wnika ona w tajniki duszy, jak też w szczegóły związane z organizmem, i zdolna jest „prześwietlić" zagadki ciała i jego organów. Określenie samej psychografologji powstało na podstawie możności tłumaczenia t. zw. rysunków symbolicznych w odniesieniu do najbardziej nawet ukrytych procesów uczuciowych i myślowych. I w tem odkryciu spoczywa największa zasługa Schermanna. Dar ten rozwinął się u niego tak dalece, że zdolny on jest do stawiania djagnoz a nawet sławy lekarskie nieraz zwracają się do niego z prośbą o ułatwienie im zadania przy pomocy psychografologicznych analiz".

A oto inny fragment z przytoczonego dziełka:

„Pewnego razu zjawia się u mnie czterdziestoletni pan, prosząc mnie o poradę w sprawie skutków grypy, którą przechodził niedawno. Nieomal w kilka minut po wejściu jego do pokoju, przynoszą mi list wysłany ekspressem, który nie czytając kładę na stół. Nowo przybyły — nazywał się on Schermann, — przerwał swoje opowiadanie, wpatrując się badawczo w pismo adresu i mówi do mnie: — List ten był pisany w więzieniu. Autor jego jest niewinny i prosi pana o pomoc.

Mój dziwny pacjent prosi mnie następnie, abym przeczytał list i przekonał się o prawdziwości jego słów. I istotnie list zawiera prośbę młodego człowieka, pochodzącego ze znanej wiedeńskiej rodziny, z którą utrzymywałem oddawna towarzyskie stosunki. Oskarżony o kradzież przez swego szefa w banku znalazł się w areszcie śledczym, a rodzice jego, nie będący pewni jego niewinności, nie przedsiębrali żadnych środków celem ratowania go.

Dowiedziawszy się o treści listu prosi mnie Schermann, abym pozwolił mu zająć się tą sprawą, a w osiem dni później odwiedza mnie wraz z młodym p. B., którego zdołał wydobyć z więzienia. Jak się to jednak stało?

Schermann udał się do banku, w którym pracował młody człowiek i poprosił dyrektora o pokazanie mu próbek pisma wszystkich urzędników. Wskazał na jedno z nich jako na pismo złodzieja i prosił dyrektora o powiedzenie temu urzędnikowi, że odkryto jego kradzież, poczem miał się on przyznać do czynu. Wszystko stało się jak przewidział Schermann i młody człowiek został oczyszczony z podejrzenia kradzieży.

W takich to okolicznościach poznałem Schermanna. Poczynione doświadczenie nie przekonało mnie jednak bez reszty do niego, począłem z nim eksperymentować jak profesor Fischer z Pragi, profesor Benedikt w Wiedniu i wielu innych. Problem ten pochłonął mnie całkowicie: jakkolwiek różnie nazywany, jednak zawsze zasługiwał na głębsze zbadanie, tem więcej, że Schermann nie robił z swego daru jasnowidzenia źródła dochodu, lecz oddawał go na usługi ludzi nieszczęśliwych, prześladowanych, i chcąc z twarzy zakonspirowanych zbrodniarzy zedrzeć maskę uczciwości. Wiadomo, że Schermann również w zakresie „ortodoksyjnej" grafologji uzyskał poważne rezultaty i że z wrażenia jakie na nim robi człowiek zdoła zrekonstruować jego pismo. Kapitalnym był wypadek, jaki wydarzył się w obecności prof. Benedikta, który pozwolił Schermannowi wziąć do ręki kopertę z wewnątrz znajdującym się listem. Ledwo dotknął się Schermann koperty, rzekł: — list ten pochodzi od bardzo nieszczęśliwej osoby, która nosi się z myślami samobójczemi. Nie umie dobrze po niemiecku, wiek jej waha się między 30 a 40 rokiem życia. W chwili, gdy pisała ten list, była zupełnie złamana. Jeśli już nie popełniła samobójstwa, uczyni to w najbliższej przyszłości. Ma ona coś wspólnego z chorymi. — Okazało się, że chodzi tu o 33-letnią siostrę miłosierdzia, Czeszkę, która list ten napisała w silnej depresji przed popełnieniem samobójstwa. Oczywiście, że naukowe wytłumaczenie tego wypadku należy do przyszłości. Ale ciekawszą jeszcze dziedziną jest ta, kiedy Schermann na podstawie pisma stawia diagnozę choroby. Dar ten był dla mnie najmniej zrozumiały i odnosiłem się do niego z największą nieufnością.

Zobaczmy, jak Schermann zdołał rozwiać moje wątpliwości i jak doszło do tego, że nawet wybitni lekarze zasięgali jego zdania. Wypadek I. Pokazałem kiedyś Schermannowi cyfrę napisaną przez jednego z mych pacjentów. — Człowiek ten jest tapicerem lub malarzem pokojowym — oświadczył Schermann. Symboliczny rysunek jaki znajduje się w piśmie przedstawia drabinę, a tworzą go dwie linje poziome, które można pociągać wzdłuż napisanej cyfry. Jest to symbol zawodowy. Sądząc z tego daru widzenia rysunków symbolicznych w piśmie można przypuszczać, że również rysunki odnoszące się do schorzałych organów mogą znaleźć się w piśmie chorych ludzi. Wypadek II. Przedłożyłem Schermannowi próbkę pisma pacjenta mego brzmiącą: „jestem zdrów". — Ten człowiek nie jest wcale zdrów jak twierdzi — rzekł Schermann, gdyż znalazł w tych dwóch słowach czterokrotny rysunek powiększonego serca. Istotnie autor tych słów cierpiał na niedomykalność klapy sercowej wraz z reumatyzmem stawów. Wypadek III. Pewnego razu zgłasza się do mnie jedna pani, prosząc mnie o zainteresowanie się stanem zdrowia swego męża, gdyż stał się od pewnego czasu niezwykle lekkomyślny, wydaje znacznie więcej pieniędzy niż na to pozwalają jego środki, nie chce jednak za żadną cenę udać się do lekarza. Zbadanie chorego męża miałem przeprowadzić pod jakimś towarzyskim pretekstem. Zanim mogłem się zainteresować tym wypadkiem, zjawia się pani B. ponownie. Jest zrozpaczona, gdyż przypuszcza, że mąż jej popełnił samobójstwo, przez całą bowiem noc pozostał poza domem i pozostawił kartkę, w której cała jego rozpacz jaskrawo się ujawniała. Pokazałem kartkę Schermannowi, który przypadkiem znalazł się właśnie w mojej poczekalni. Opinja jego brzmiała: — To nie jest pismo samobójcy, ale człowieka, który chce coś wymusić, trzeba mu to jednak wybaczyć, bo jest bardzo chory. Okazało się, że mąż pani B. był dotknięty paraliżem postępowym, skąd wynikała jego rozrzutność, a kartka napisana była celem wywarcia na jego żonie presji. Wypadek IV. Zobaczywszy pismo pewnej wybitnej histeryczki, która chciała koniecznie wyjść zamąż, Schermann oświadczył mi: — Kobieta ta chce jak najprędzej wyjść zamąż, ma zresztą rację, gdyż niezaspokojenie jej życzenia powoduje histerję. W piśmie widzę wyraźnie wianuszek mirtowy! — Pani ta wyszła wkrótce zamąż i wszelkie objawy histerji zniknęły jak ręką odjął.

Wypadek V. O piśmie pewnej pani, która w silnej depresji chciała popełnić samobójstwo przez powieszenie mówi Schermann: — jest to pismo kandydatki na samobójczynię. Już raz zresztą chciała to uczynić, wieszając się. Na szczęście pękł sznurek, kiepski fabrykat wojenny. Schermann opierał swój sąd na często powtarzających się pętlach w piśmie, a diagnoza i tym razem okazała się prawdziwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

REZYGNACJA
Artystka filmowa Linda Darnell



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

NOWOGRECKIE PIEŚNI LUDOWE

MUZYKA I SŁOWA POLSKIE:
WŁODZIMIERZ POŹNIAK

1. JEDYNE ŻYCZENIE

ANDANTE.

pp delicat.

1. Je - dno tyl - ko mam ży - cze - nie- Kie - dy mnie Ha - de-su skry-je cień. Nie - chaj wte - dy sta-ry Che-ron za - śnie Wierz mi o lu - by, o tym tyl-ko śnię!
2. Po - ta - jem - nie wró - cę na zie - mię I zo - ba - czę, czyś wiernym zo-stał mi. Czy wciąż tęsk - nisz gorz-ko za mną pła - cząc- Wierz mi o lu - by, o tym tyl-ko śnię!

2. TAM NA DOLE W WALTO...

ENERGICO.

1. Tam na do - le w Wal - to wci - chych wsiach A - gra - fa i Chi - ro - me - ro. Sy - nu mój! W dzie - się - ciu po - wia - tach Jedz - cie, pij - cie! Hej! mo - i bra - cia!
2. Tam jest moc po - wstań - ców, wszys - cy dziel - ni, W du - ka - ty stroj - ni, wszy - scy są. Sie - dzą i je - dzą, pi - ją, krzy - czą Głoś - no mia - stu Ar - ta gro - żą.

Przygoda

NAPISAŁ STEFEL

NOWELA

Zanim spotkał Przygodę, o której nie miał nigdy już zapomnieć, rozmawiał trzy razy telefonem z nieznajomą.

Z drobiazgową dokładnością przypominał sobie okoliczności, jakie poprzedziły pierwszą z tych rozmów. Właśnie nastawiał nogę złamaną w goleniu, gdy Siostra Halina zawsze jednakowo słodko uśmiechnięta, oznajmiła mu, że go jakaś pani prosi do telefonu. Stefan nie był pewny czy jego manipulacje koło złamanej nogi są właściwe, czy uda mu się ją wkońcu dobrze nastawić. Chory się niecierpliwił, jęczał, krzyczał i młody doktór mało nie płakał ze zdenerwowania.

Miły uśmiech Siostry Haliny wydał się Stefanowi nieznośnym. Był zły, na siebie, na chorego, na Siostrę, na cały świat.

— „Przecież Siostra widzi, że nie mam czasu — odburknął, dorzucając zaraz: niech poczeka!“. Odetchnął, gdy nareszcie założył gips i pielęgniarze wynieśli chorego na noszach ze sali.

Powoli, ciągle jeszcze myśląc o złamaniu, wymył ręce pod kranem. Odruchowo przejrzał się w lustrze i bez pośpiechu, leniwie podszedł do telefonu.

— — — —

— Hallo! Czy poznaje mnie pan po głosie?

— Niestety nie!

— Tu Przygoda... Przestrzeń... Dal,,, Czy wystarczy?

— Wystarczy! Czem mogę pani służyć?

— Przestrzeń woła... dal kusi... przygoda czeka...

Stefan uśmiechnął się. Drgnęła w nim zwykła ludzka tęsknota. Zapragnął wyrwać się poza ramy dnia powszedniego, otrząsnąć na chwilę z codzienności. Sposobność sama się nadarza: nastrojowym głosem kobiety woła go, kusi Przygoda.

— Czy mogę panią prosić o coś bardziej konkretnego?

— Czy był pan dobrym matematykiem? — głos nieznajomej rozbawiony był i śmiejący.

— Owszem, tak!

Wobec tego podam panu wzór matematyczny:

$$P = \frac{w - 3\ 1}{d} \cdot m$$

czyta się to:

Przygoda = $\frac{\text{wspomnienia — 3 lata. Maj}}{\text{dal}}$

Jutro o tej samej porze zadzwonię, aby dowiedzieć się, czy pan wzór ten rozwiązał.

— Hallo! Hallo! — Stefan rzucił się w pościg za tym nieznajomym głosem. Natknął się tylko na telefonistę w centrali.

— Czy numer, z którym mówiłem, wyłączony?

— Tak, proszę pana!

— — — — — — — — —

Dnia następnego:

— Hallo! Dzień dobry! Czy rozwiązał pan wzór?

— Nie, niestety nie! Myślałem cały dzień i całą noc o pani — — ale — — — —

— Nie odszukał mnie pan w swoich myślach? w swoich wpomnieniach?

— Nie! Nie! Niestety!

— A jednak pan mnie zna. I nawet kiedyś dawno przez krótki moment swojego życia był pan w kręgu mojego czaru.

— Nie wiem, nie wiem, kto pani jest. Błagam, proszę mi powiedzieć choć imię swoje.

— Moje imię: Przygoda!

— Piękne imię! Ale jakżeż ja panią znajdę?...

— Jestem wszędzie tam, gdzie piękno, poezja, sztuka.

— A więc szukam!

— — — — — — — —

I była jeszcze trzecia rozmowa:

— Hallo! Czemu mnie pan jeszcze nie znalazł? Gdzie mnie pan szukał? Czemu pan nie był na koncercie Friedmanna?

— Pani mnie doprowadzi do rozpaczy. Nic innego nie robię, tylko szukam pani. Istotnie byłbym poszedł na koncert Friedmanna, gdybym nie był wierzył, że spotkam panią w teatrze.

— Byłam w teatrze we wtorek, a we środę na wystawie w Sztuce, a we czwartek na autorskim wieczorze Z. K. Nie jest mnie trudno znaleźć.

— Jakże ja panią poznam?

— Proszę się nie obawiać. Gdy mnie pan spotka, z nieomylną pewnością będzie pan wiedział, że to ja.

— A więc szukam...

— — — — — — — —

Od tej rozmowy minęło 11 dni i Stefan był do ostateczności wyczerpany gorączkowem szukaniem nieznajomej.

W uszach brzmiał mu jej nastrojowy, kuszący głos. Rano w szpitalu drżał od wewnętrznego oczekiwania. Za każdem otwarciem drzwi sali opatrunkowej spodziewał się wezwania do telefonu. Napróżno.

Napróżno również szukał Przygody w salach koncertowych, teatrach i na wystawach. Tak bardzo ją jednak pragnął znaleźć, że ani na moment nie stracił nadziei i ani razu nie pomyślał o zaprzestaniu poszukiwań.

Od tygodnia zapowiedziany był wielki koncert Unińskiego. Stefan kupił wcześnie bilet i liczył godziny z niecierpliwością zakochanego studenta. Jakich uczuć doznawał w rzeczywistości? Działał bez zastanowienia. Poprostu porwała go niepospolitość przeżycia i nieznane. Bez wątpienia interesowała go Przygoda. Czasem robił sobie wyrzuty, że za dużo myśli o tej nieznanej kobiecie. Czasem był zły, że stała się jego marzeniem, że zatraca się w pragnieniu odnalezienia jej.

Coraz rzadziej jednak serce jego dyskutowało z mózgiem i wkońcu uczucie zainteresowania, ciekawości ogarnęło go zupełnie.

* * *

Sala Starego Teatru zapełniła się po brzegi publicznością. Szumiał gwar rozmów. Niespokojny, ruchliwy tłum falował. W powietrzu unosił się zapach perfum, krzyżowały się rozmowy, uśmiechy, ukłony. O godzinie ósmej pozostało zaledwie parę miejsc wolnych.

Stefan był jednym z pierwszych na sali. Wpatrzony w drzwi, robił wrażenie medjum w hypnozie. Blady, z uwagą do maksimum skupioną, czekał. Przeszło już tyle kobiet młodych i pięknych. Żadna z nich nie mogła być nią. Weszło kilka znajomych. Był pewny, czuł to wyraźnie, że żadna nie jest... Przygodą. Od czasu do czasu ktoś zasłaniał mu widok, wówczas wstawał i znów patrzył. Musiał patrzeć. Zwracał uwagę swojem zachowaniem — kilka osób zaczęło go obserwować. Tłum przestał falować. Przez długą chwilę drzwi były zamknięte. Potem wszedł jakiś starszy mężczyzna. Na estradzie zrobił się ruch. Zaraz zacznie się koncert.

W ostatnim momencie powoli, spokojnie wchodzą dwie panie — matka i córka. — Czyżby to była ona, Przygoda? Nie widział jej kilka lat. Wyjeżdżała. Chora, leczyła się na południu. Teraz stoi tam lekka, wiotka, jasna. Pochyliła w bok głowę, zadumane oczy zwróciła na salę.

Stefan nie jest dość pewny, czy się nie myli. Zaczyna rozumować, przypominając sobie szczegóły rozmów telefonicznych. — Istotnie był pod jej wrażeniem jakiś czas. Ale cóż ona może o tem wiedzieć? W tym czasie, a więc trzy lata temu podobało mu się tak wiele kobiet. Tak — zgadzałoby się wszystko z zabawnym wzorem Przygody. Wspomnienie z przed trzech lat rozbite oddaleniem dziewczyny. — Maj? Stefan przypomina sobie wielkie przyjęcie u państwa Ł. na imieniny młodszej panny Zosi. Tańczył dużo z Joanną, ażeby podrażnić miłość własną jej przyjaciółki Magdaleny, która go trochę dla zabawy, jak myślał, bałamuciła. Potem zresztą... Ach, więc to tak... I teraz Joanna...

— — — — — — — —

Zaczął się koncert.

W czasie przerwy Stefan tak manewrował, żeby znaleźć okazję i spytać:

— Czy pani jest Przygodą?

— Jakże pan to ładnie powiedział: „Czy pani jest Przygodą?“" Nie można powiedzieć chyba piękniejszego komplementu kobiecie.

Wyczulonym słuchem Stefan odczuł różnicę w akcentach pytania. Musnęło to jego świadomość i nie utrwaliwszy się, zagubiło wśród napływających myśli.

— Jeśli powiem, że tak, że jestem Przygodą, to — — —

— To odpowiem, że szukam pani od wielu dni, że marzę o pani od tylu, tylu tygodni i że jestem szczęśliwy, nareszcie znajdując panią.

Tak zaczął się flirt. Tak zaczęła się ich miłość.

— — — — — — — —

Minęło kilka miesięcy. Stefan był już narzeczonym Joanny. Bywali razem na balach, dancingach, wystawach, koncertach i w teatrze.

Stefan nazywał ją swoją Przygodą i raz jedyny nawiązał do jednej z trzech rozmów telefonicznych. Imię „Przygoda“ ogromnie się Joannie podobało i z widoczną przyjemnością je akceptowała. Na wzmiankę o telefonicznych rozmowach, wybuchnęła śmiechem i gwałtownie zaprzeczała, że to nie ona, że Stefan jest w błędzie, że się myli, że nigdy, nigdy — — — Słowa ginęły w śmiechu razem z prawdą. Stefan zrozumiał to po swojemu. Joanna nie chce się przyznać, że się nim pierwsza zainteresowała. Przestał więc o tem wspominać.

Przyszła wiosna. Zaczęły się kwiaty: konwalje, bratki i bzy. W jakiś wieczór majowy, ciepły, dyszący zapachem ziemi, liści i kwiatów, Joanna i Stefan znaleźli się w ogródku kawiarnianym. — Znaleźli stolik w uroczym mroku kasztana. Siedli uniesieni nastrojem wiosennej nocy i muzyki.

Orkiestra grała rzewną melancholijną serenadę. Stefan czuł wyraźnie jak razem z tą muzyką sączy się w jego serce tęsknota. Za czem? Joanna, olśniewająco piękna, urocza, patrzyła na niego zakochanym wzrokiem. — Biło mu do niej serce. A jednak... Jakaś cygańska tęsknota rwała się w nim. Nie! Joanna nie jest Przygodą. Podszyła się pod to pojęcie, bo ją ono nęciło swym powabem. Jednak mimo wszystko — pomylił się. To pojęcie nie określa jej. Joanna to piękno, to czar, urok, miłość, ale nie... Przygoda.

Stefan siedział zasępiony.

Jakiś młody liryczny tenor zaczął śpiewać. Miłość, samotność, tęsknota przeplatały się w smutnej piosence. Ani jedna nutka nie dźwięczała nadzieją. Jakby radości na świecie wcale nie było. I jakby uśmiech nie istniał. Jakby wszystko najlepsze musiało się

Dokończenie ze str.. 23-ej.

kończyć najgorzej. Głos łkał z tęsknoty i żalu...

I w tej chwili, w jasnej smudze światła, przecinającej mrok wiosennej nocy, jak urocze, czarujące zjawisko, stanęła Ona: tamta, ta prawdziwa. Kobieta jego krwi... Przygoda.

Miała rację. Teraz wie napewno, że to Ona — żadna inna, tylko Ona.

Stefan oszalał. Krew napłynęła mu w serce szeroką falą. Stracił na moment oddech. Oniemiał. Ciemna sylwetka posuwała się jak cień. Była coraz bliżej.

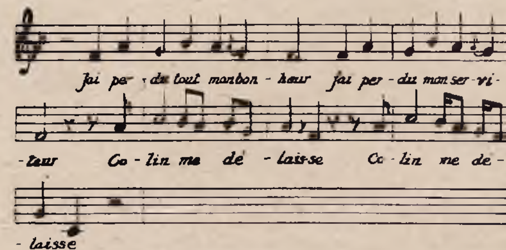
Joanna zaczęła coś mówić (Stefan nie rozumiał co, nie słyszał). Wstała, wyszła naprzeciw tamtej. Było zapóźno. Nie mógł już temu przeszkodzić. Po chwili siedzieli już w trójkę.

Joanna rozmawiała z ożywieniem z Magdaleną. Poprzez dźwięki jakiegoś angielskiego walca, między łkaniem skrzypiec a westchnieniem wiolonczeli, Stefan usłyszał słowa powiedziane do Joanny, ale dla niego:

— Byłam i w lutym w Krakowie. Nudno mi było jakiś czas, intrygowałam znajomych przez telefon. To czasem ogromnie zabawne...

Dokończenie ze str. 12-ej.

mówi mu jednak, że Colette go już nie kocha i że mu nie jest wierna. Colin rozpacza. Wróżek przyrzeka jednak czarami swymi przywrócić mu serce ukochanej. Oczywiście, że wobec takiego obrotu rzeczy nic łatwiejszego, jak pogodzić młodych i uszczęśliwić! Aranżuje więc nibyto cudowne spotkanie pasterza z pasterką. — Oboje młodzi są mocno wzruszeni. Colette postępuje według rady wróżka: mimo gorących próśb i słów Colin'a, przekomarza się z nim dłuższą chwilę, zanim daje się przebłagać. Na znak pojednania ofiaruje Colette ukochanemu wstążkę, którą była przepasana jej suknia. Szczęśliwa para wyśpiewuje swe szczęście w pogodnych słowach i ślicznych melodjach. Są to jakby drobne hymny na cześć miłości we formie naprzód duetu, potem tercetu (z udziałem wróżka); w końcu czterogłosowy chór wielbi cudowną moc wróżbiarza wiejskiego, który uszczęśliwił dwoje młodych: „Du devin de notre village chantons le pouvoir éclatant" — potem następują naprzemian: solo orkiestry, pantomina, romanca i drobne arje. Pantomina i części taneczne wiążą się organicznie z akcją. Pantomina podkreśla akcję, posługując się oczywiście jedynie środkami taneczno-mimicznemi. Temu faktowi, niespotykanemu dotąd w dziejach opery, że poeta-librecista sam stworzył dla swej koncepcji literackiej muzykę — zawdzięcza „Wróżek" wspaniałą jedność akcji z muzyką i tańcem. — Melodje aryj „Wróżka" są proste i bezpretensjonalne. Oto jeden z przykładów:



W orkiestrze występuje głównie kwartet smyczkowy, który tu i ówdzie powiększa się o dwa oboje, dwa flety i dwa fagoty. Na pierwszym planie stawia Rousseau jednak melodję, śpiew, — harmonję uważa za czynnik wtórny i wytwór barbarzyństwa [1]).

* * *

W następnym roku (1753) wystawiono „Le devin" w Operze w Paryżu. Również na dworze w Bellevue grano go raz jeszcze na życzenie króla, przyczem rycerze i damy dworu sami odtwarzali role. Markiza Pompadour grała rolę Colin'a.Rousseau nie sko-

[1]) dr. Józef Reiss: „Historja muzyki".

Dokończenie na str. 31.

WYSTAWA, KTÓRA ODDYCHA...

Leodyjczycy z dumą mówią o swej wystawie: „l'exposition qui respire" (wystawa, która oddycha) w przeciwieństwie do wystawy nowojorskiej: „l'exposition qui transpire" (wystawa, która się poci).

Wystawa leodyjska nosi nazwę „Wystawy Wody". Została ona zorganizowaną z okazji inauguracji kanału Alberta, którego budowa rozpoczęta w 1930 r., została skończoną w b. r. Ażeby przedstawić Czytelnikom ogrom pracy dokonanej przez Belgów, powiemy tylko, iż dla przekopania tego kanału trzeba było poruszyć dwa razy więcej ziemi, niż przy budowie kanału Panamskiego.

Leodyjczycy zazdrośni, iż pobliska Bruksela posiadała Wystawę Międzynarodową w 1935 r. i ściągała na nią turystów z całego świata, postanowili się „zemścić" i wydobywszy od rządu i rady miasta Leodjum blisko dwieście miljonów franków, postanowili zbudować „Międzynarodową Wystawę Wody" i w tym celu wybrali dla niej miejsce z obydwóch stron rzeki Mozy. Pełno jest tam powietrza i stąd też dewiza tej wystawy brzmi, jak to powiedzieliśmy powyżej.

Na apel Belgów, odpowiedziały w pierwszym rzędzie kraje z nimi sąsiadujące, a mianowicie Francja, Holandja, Luksemburg i Niemcy, kraje skandynawskie, związane z belgijskim dworem królewskim pokrewieństwem przez zmarłą tragicznie królowę Astridę, mała Albanja i Grecja. Reszta krajów bierze udział w pawilonie ogólnym.



Ogólny widok wystawy widzianej z kolejki linowej.



Powyżej: Niezwykle ciekawie pomyślany jest ogród podzielony na kwadraty zapełnione naprzemian wodą i kwiatami.
Poniżej: A oto ten sam ogród widziany w nocy przy oświetleniu elektrycznem.



Dla Polski został wyznaczony pierwszorzędny teren i komisarzem naszym miał być p. Georges Vaxelaire. W ostatniej jednak chwili ministerstwo nasze doszło do wniosku, iż pieniądze potrzebne są w chwili obecnej na obronę kraju i dlatego też w wystawie udziału nie bierzemy.

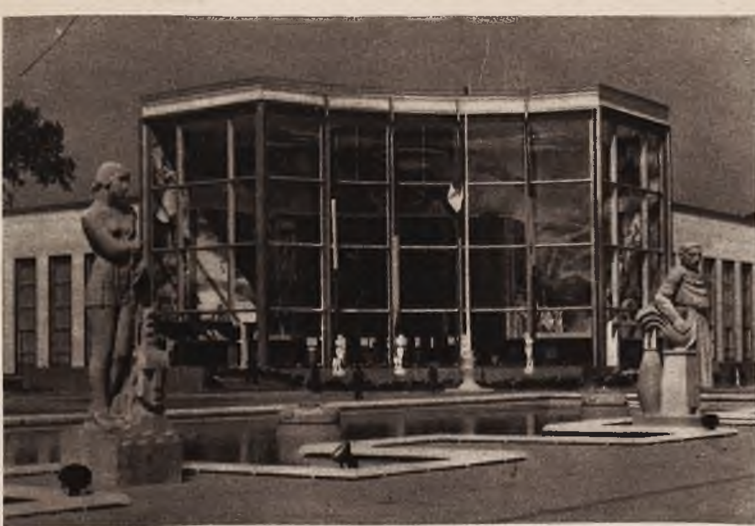
Albanja wybudowała swój pawilon, lecz na kilka tygodni przed jego inauguracją przestała istnieć. Dziś w tych samych murach znalazła pomieszczenie miła cukierenka.

Olbrzymi stosunkowo teren, położony z obydwóch stron szerokiej Mozy, pozwolił organizatorom na ogromną rozrzutność w terenie. Nie mamy tu więc tak charakterystycznego na innych wystawach „tłoku pawilonów". Mimo stosunkowo szczupłych środków finansowych, nie brak jest w Leodjum niczego. Istnieje więc kolejka, którą możemy objechać cały teren wystawowy. Na olbrzymich słupach stalowych znajduje się kolejka linowa. Na Mozie kursują „wodne taksówki" i „statki-muchy", zabierając nas dowolnie na jedną lub drugą stronę rzeki. Słowem środków lokomocji nie brak.

Wśród publiczności, zwiedzającej wystawę, poza Holendrami i pewną grupą Niemców, nie znajdziemy innych przybyszów z zagranicy. Niepewne czasy i konkurencja wystawy nowojorskiej odwróciły uwagę etranżerów gdzieindziej. Wzamian za to Belgowie przychodzą tu tłumnie, zwłaszcza Leodyjczycy, którzy każdego popołudnia opróżniają miasto, by napić się piwa w miasteczku mosańskiem, zbudowanem na wzór starych miast walońskich i popatrzeć na iluminacje wieczorne.

Z pośród wystawców obcych na pierwsze miejsce wybija się bezapelacyjnie Francja. Była ona zresztą tą wystawą podwójnie zainteresowana. Chciała się pochwalić z jednej strony rozwojem przemysłu i tem wszystkiem, co związane jest z wodą, z drugiej zaś starała się zrobić jak najdodatniejsze wrażenie w stolicy Walonji, Leodjum, mówiącej jej językiem i zazdrośnie, strzegącej kultury francuskiej.

Niemcy chcieli wybudować olbrzymi pawilon i to jak najtańszym kosztem. Problem ten rozwiązali w ten sposób, iż zwieźli do Akwizgranu, znajdującego się na granicy niemiecko-belgijskiej, cały materjał budowlany i codziennie samochodami ciężarowymi, wraz z robotnikami, transportowali



Gmach Generalnego Komisarjatu rządu belgijskiego na wystawie w Liège.



Główne wejście na wystawę zdobią ciekawe rzeźby.

go do odległego o 50 km Leodjum. Każdego wieczoru robotnicy powracali do Akwizgranu, nie dając kupcom i hotelarzom belgijskim zarobić ani jednego grosza.

Trzeba jednak stwierdzić, iż mimo olbrzymiego wysiłku, nie potrafiły Niemcy prześcignąć nietylko Francji, uczestniczącej jednocześnie w wystawie, lecz również i Holandji. W pawilonie niemieckim przytłacza wielkość, we francuskim i holenderskim, interesuje każdego styl, architektura, wreszcie sposób przedstawiania eksponatów.

Eksponaty same, trzeba przyznać, interesują głównie tylko fachowców. Dla zwykłego śmiertelnika wszystkie te mosty, tamy, śluzy i statki są jednakowe i przechodzi on szybko z jednego pawilonu do drugiego, szukając rzeczy oryginalnych i ciekawych.

Pawilon niemiecki, to żywa propaganda. Pełno jest tam służby, pilnującej bacznie, by turyści czegoś nie zniszczyli, względnie też nie manifestowali przeciw Niemcom. Na prawo i lewo widzimy mapy, ilustrujące potęgę dzisiejszej Rzeszy. Liczne fotografje z Czech stwierdzają, iż Niemcy protektorat eksploatują już w pełni.

Największą sensacją wystawy są wieczorami jej iluminacje świetlne. Wspaniały ogród wody zamienia się w dziesiątki barwnych fontan. Trzeba przyznać Belgom, iż pod tym względem byli bardzo pomysłowi i nigdy jeszcze nie widzieliśmy na żadnej z wystaw równie pięknych i pomysłowych iluminacyj.

Młodzież garnie się do wspaniałego Lido, złożonego z basenów pływackich, gdzie zwłaszcza teraz, w upalne dni lipcowe, setki osób się kąpie. Dla zwolenników ślizgawki otworzono w olbrzymiej hali sztuczne lodowisko i mimo trzydziestu kilku stopni ciepła nazewnątrz, wewnątrz gmachu panuje atmosfera nieomal „zimowa“

Głównem zadaniem wystawy leodyjskiej jest jednak skierowanie zainteresowania turysty nie na pawilony, lecz na odnogę kanału Alberta, biorącego tu swój początek. Belgowie dumni ze swego dzieła, chcieli go pokazać również i światu i w tym celu nie liczyli się z kosztami, organizując dla uczczenia jego wystawę wodną. Ostatnio coprawda część tego kanału nie wytrzymała naporu wody i załamała się, powodując w pobliżu Hasselt ogromną powódź, lecz czy była to wada konstrukcji, czy też poprostu sabotaż tego nie stwierdzono, a Belgowie raczej wskazują na to drugie.

Jakim był cel budowy tego kanału?

Król Albert, zwany królem-żołnierzem, zbyt dobrze znał Niemcy, by nie przewidziać, iż Belgja zdobędzie tylko wówczas zupełną niezależność, jeśli posiadać będzie nietylko fortyfikacje obronne, lecz o ile otrzyma „dostęp do morza“.

Jest to może dziwnem, lecz zarazem prawdziwem, że Belgja, leżąca nad morzem Północnem i posiadająca niezliczone ilości miejscowości wypoczynkowych w rodzaju Ostendy, Knocke, Blankenberghe itd. nie ma ani jednego portu par excellence morskiego. Antwerpja, Gandawa i Bruksela, trzy największe porty belgijskie, są portami rzecznymi. Antwerpja i Gandawa leżą nad Skaldą, która po przepłynięciu około 60 km przez terytorjum Holandji, wpada do morza w pobliżu Vlissingen.

Król Albert wspominał zawsze odwrót oblężonych w 1914 r. pod Antwerpją belgijskich żołnierzy, którzy nie mając innej drogi, musieli cofać się wzdłuż Skaldy i przekroczywszy granice Holandji zostali tam rozbrojeni. Trudno też było w czasie wielkiej wojny przyjść Belgji z pomocą drogą morską, gdyż neutralna Holandja temu się sprzeciwiała.

Obok względów strategicznych, za budową kanału przemawiały czynniki gospodarcze. Ośrodek przemysłowy Belgji — Walonja, nie może korzystać z portu w Antwerpji, gdyż nie posiada z nim połączeń wodnych. Naodwrót Walonja była połączona przez Mozę z holenderskim Rotterdamem i nic dziwnego też, iż port ten wyspecjalizował się, ze szkodą Antwerpji, w przeładunku towarów dla południowej Belgji. Połączenie Leodjum z Antwerpją kanałem Alberta, biegnącym wzdłuż granicy holenderskiej i stanowiącym przez to zabezpieczenie jej granicy, umożliwia jednocześnie przemysłowej Wa-

Dokończenie na str. 31.

ŻYCIE
towarzyskie i artystyczne

MISTRZOWIE SZACHOWNICY



Największy z dotychczasowych turniejów drużynowych o mistrzostwo Krakowa w grze w szachy zakończył się zwycięstwem „Krakowskiego Klubu Szachistów", który temsamem zdystansował wodzący dotychczas prym na miejscowym terenie „Klub im. J. Dominika". Na zdjęciu członkowie „Krak. Klubu Szachistów" (od lewej) pp. red. Gałuszka, mistrz Arłamowski, Breuer, hon. prezes Wiewiorowski, obecny prezes płk. Dienstl-Dąbrowa, mistrz Błaszczak, Żelechowski, por. Knobel i Hobota. Stoi: p. Górkiewicz.

Z KRONIKI ŚLUBNEJ



W dniu 10 lipca b. r. wstąpiła w związki małżeńskie znana na terenie Katowic i Śląska, utalentowana artystka Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, p. Zofja Grzębska, poślubiając inż. dyplom. Tadeusza Marcinkiewicza z Katowic. Ślub odbył się w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Na zdjęciu: Młoda para w otoczeniu rodziny, przyjaciół i znajomych po ceremonji ślubnej.

MARLENA DIETRICH BAWI W EUROPIE



W corocznym „ciągu" gwiazd filmowych z kontynentu amerykańskiego do Europy widzimy przedewszystkiem Marlenę Dietrich, która lato spędza zwykle na francuskiej Riwierze, lub na wybrzeżu Bretanji. I w tym roku przybyła fascynująca aktorka do Europy, pragnąc przedewszystkiem zobaczyć swą dorastającą już córkę, która przebywa stale w jednej ze znanych uczelni szwajcarskich. Przyjazd Marleny łączy się tym razem również i z załatwieniem formalności, jakie okazały się konieczne dla ostatecznego uregulowania sprawy jej obywatelstwa amerykańskiego. Wiadomo bowiem, że artystka do niedawna była poddaną niemiecką i że dopiero przewrót hitlerowski skłonił ją do wyrzeczenia się ojczyzny. Na zdjęciu: Marlena Dietrich po przybyciu na dworzec paryski.

PRZED NOWYM SEZONEM TEATRALNYM





Wśród artystek i artystów, opuszczających Kraków z nowym sezonem, znalazła się para prawdziwych ulubieńców tut. publiczności teatralnej, p. Wanda Niedziałkowska i p. Kazimierz Szubert, którzy przenoszą się na scenę łódzką. Kraków, który zawdzięcza im niejedno wartościowe przeżycie, żegna swych ulubieńców życzeniem: Nie na długo!



Tamara Pasławska, zaangażowana ostatnio przez teatr im. Słowackiego w Krakowie, uchodzi za jedną z najbardziej utalentowanych i urodziwych artystek młodego pokolenia.

Dokończenie ze str. 5-ej

wszędzie tam, gdzie istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo wykrycia jej. Ponieważ wynalazca aparatu, pozwalającego stwierdzić nieomylnie obecność nafty w ziemi, Burroughs, zginął wraz z wynalezionym przez siebie przyrządem w bezlitosnej walce konkurencyjnej, potężne, stalowe świdry „węszą" nieustannie za naftą, wiercąc coraz to nowe, często martwe otwory. Gwałtowny wzrost motoryzacji i lotnictwa z jednej strony, zaś wyczerpywanie się dotychczasowych źródeł z drugiej, nauczyły rozsądniejszej gospodarki naftowej i skłoniły do gorączkowego poszukiwania namiastek.

Wśród krajów, przeprowadzających doświadczenia w tej dziedzinie, znajduje się również i Polska. Kraj nasz, będący kolebką nafciarstwa, w szaleńczym wyścigu produkcji naftowej świata, odpada niestety na coraz dalsze miejsce.

Od lat trwające w Niemczech doświadczenia nad wynalezieniem benzyny syntetycznej dały wynik pomyślny, a stosunkowo niedawno i polskie dzienniki doniosły o podobnym sukcesie u nas. Okazało się jednak, że produkcja jest zbyt kosztowna i nierentująca się. Poszukiwania więc trwają nadal.

A trzeba się spieszyć. Tylko 100 lat ma przed sobą ludzkość na rozwiązanie tego palącego problemu. „Za sto lat nie będzie ani kropli nafty", oto groźba, która zdaniem fachowców-nafciarzy, zawisła nad światem.

Eugenja Duszyńska.

Dokończenie ze str. 8-ej.

Dzieci? Oczywiście — powinna mieć — ale najwyżej dwoje. I właśnie w roli matki musi zabłysnąć wykształceniem. Musi znać nowe metody wychowania, umieć na ten temat dyskutować.

Wogóle wykształcenie to ważna dziś rzecz. Kobieta-ideał nie powinna jednak być zbyt mądra, aby nie zatracić wdzięku.

Musi koło siebie posiadać krąg przyjaciół i być punktem centralnym towarzystwa. I jeszcze coś: nie malować się zbytnio, gdyż naturalne barwy są najpiękniejsze.

Rozważywszy te wszystkie, tak na pozór wyrafinowane warunki, mające dać w sumie ideał kobiety doby obecnej — można sobie rzec: „nie taki djabeł straszny jak go malują"! Nie jest to znowu nic trudnego, nowego, ani nadzwyczajnego, gdyż właściwie: mądre, ładne, wykształcone, dowcipne, pilne, wytrenowane, pikantne i roztropne — są obecnie prawie wszystkie kobiety. Najważniejsze, że same zbyt wiele nie wymagają od mężczyzn, choćby z tej przyczyny, iż „mężczyźni są silniejsi mniejszością".

Zdaniem pewnego złośliwego humorysty zainteresowanie kobiet rodzajem męskim nie wychodzi poza ramy trzech zasadniczych pytań. — Kiedy kobieta ma lat osiemnaście zapytuje: Jaki „on" jest?. W trzydziestym roku życia interesuje się: Czem „on" jest? W czterdziestej wiośnie panieństwa pozostaje jej tylko retoryczne pytanie: Gdzie „on" jest?

Danuta Derin-Kadulska.



by nawet nieco ekscentrycznych i śmiałych. Szczególnie te panie, które wyjeżdżają na plaże zagraniczne i do zagranicznych uzdrowisk, powinny starać się pokazać cudzoziemcom, jak piękne i ciekawe motywy posiadamy w naszej rodzimej, ludowej sztuce i kostjumologji. Powodzenie zapewnione, gdyż kraje Zachodu, przepojonego już dziś miejską cywilizacją i coraz dalsze od prymitywnej ludowości, mają dla folkloru, dla rzeczy niebanalnych i pięknych ogromne zrozumienie.

Oto parę pomysłów, dalekich zresztą od wyczerpania tej przebogatej skarbnicy:

Barwne, krakowskie tybety w malownicze kwiaty, nadają się doskonale na suknie plażowe i komplety złożone z kloszowych shortów i staniczka bez pleców. Na tle piasku i morza żywe, soczyste ich kolory ślicznie hafty krakowskie na batyście, czy poznańskie na tiulu, znajdą szerokie zastosowanie w modzie tegorocznej, stosującej tak obficie wszelkie „lingerie" na falbanach halek ukazujących się z pod sukni, jako żaboციki, kołnierzyki i mankiety lub całe plastrony z haftu.

Każda z pań, która umie się ubrać indywidualnie, potrafi te pomysły mnożyć w nieskończoność. Nie dajmy się wyprzedzić paryżankom. Tylko patrzeć, jak one zaczną nosić różne nasze ludowe motywy, wszak jesteśmy dziś na Zachodzie najmodniejsi.

Lady Like.

Na lewo (od lewej): Płaszcz z sukna łowickiego. Suknia z białego płótna, naszywana wstążkami krakowskiemi.

Rysunki: EWA LEO

FOLKLOR WE WZORACH MATERJAŁÓW

Ostatnie lata przyniosły w całej Europie zdecydowaną modę na motywy ludowe w stroju kobiecym. Piękne paryżanki co roku przywożą sobie z podróży jakieś folklorystyczne „curiosa" z różnych krajów i lansują je potem — przeważnie z dużym sukcesem — w salonach stolicy mody, jaką jest Paryż. Wiele krajów faworyzuje specjalnie swe rodzime motywy w modzie kobiecej w celach propagandowych w zrozumieniu konieczności, że propaganda winna objąć wszystkie możliwe dziedziny, wśród których moda nie jest bynajmniej na ostatniem miejscu. Na Węgrzech — pod patronatem regentowej Horthy — dokonano w tej dziedzinie bardzo wiele i na wystawach Budapesztu można ujrzeć przepiękne kreacje, godne paryskiej „haute couture", oparte na oryginalnych i barwnych motywach ludowych węgierskich.

W ostatnich czasach i u nas robi się w tym kierunku pewne wysiłki, ale jak dotąd — bez większych praktycznych rezultatów. Nasze panie wolą poprzestawać na opatrzonych tyrolskich „dirndlach" i wiązaniu chusteczek pod brodą.

Nie rozumieją, że stroje i zdobnictwo naszego ludu, to istna kopalnia pomysłów, motywów i szczegółów; trzeba umieć je wybrać i umiejętnie, ze smakiem zastosować.

Pamiętam, że gdy przed laty na Semmeringu, który w tych dobrach „przedanschlussowych" czasach roił się od międzynarodowej publiczności, nosiłam nasz poczciwy polski kożuch tyśmienicki, robił on wśród zagranicznych elegantek poprostu furorę. Nazywano go wprawdzie „schlachcicenmantel", ale podobał się bezapelacyjnie i nawet pewna Włoszka (Wenecjanka) prosiła mnie o adres wytwórni, aby móc sobie takie „cudo" zamówić. Wyobrażam sobie, że na placu św. Marka robił jeszcze większą sensację.

Zainicjowany tej zimy przez „Asa" konkurs na strój narciarski, oparty na ludowych naszych motywach, dał już wcale niezłe wyniki, mimo że strój narciarski — jako dress sportowy, a więc podporządkowany przedewszystkiem praktycznej celowości — dawał z konieczności ograniczone pole do popisu. Obecnie stroje letnie i plażowe, to wymarzona dziedzina do wprowadzenia różnych nowalij tualetowych, choć grają, a mają także i tę zaletę, że się nie mną i doskonale znoszą pranie. Z tybetów tych można również robić lekkie narzutki do letnich sukien.

Na chłodniejsze dnie na letnisku czy nad morzem jak oryginalnie i elegancko wyglądać będzie wcięty, dołem kloszowy płaszczyk z łowickiej, pasiastej wełny. Jeśli boimy się zbyt żywych kolorów, lub jeśli niski wzrost lub obfitsza nieco tusza nie pozwala nam nosić takiego płaszczyka, możemy zamówić sobie luźną narzutkę z jasnej, naturalnej wełny kilimowej, z wrabianym kilimowo, ładnym szlakiem dołem i przy rękawach.

Bardzo twarzowym i efektownym elementem stać się mogą wstążki krakowskie. Użyjemy je jako naszycia, tworzącego szeroki szlak u dołu i na rękawach jakiejś jasnej letniej sukienki, lub też zastosujemy je jako pionowe pasy, naszywane na wierzchu każdego kantrafałdu plisowanej sukni z bardzo cienkiego, białego lub kremowego jedwabiu. Wstążek tych używać też będziemy do włosów, wiążąc je w sutą kokardę nad czołem, co dziś na plaży czy na letnisku tak chętnie jest noszone.

Ładnie wyglądać może również skromna letnia suknia wieczorowa z naturalnego „shantungu", o szerokiej spódnicy, naszytej w szeroką kratę wąskiemi krakowskiemi wstążeczkami, naszytemi również w ten deseń na szerokich, bufiastych rękawkach. Wśród loków fryzury wepniemy takież dwie kokardki, na nogi włożymy sandały z grubiej korkowej podeszwy, przysznurowanej do stóp aż ponad kostkę takiemi samemi wstążkami. Ładną i oryginalną tę całość uzupełni torebka z surowego jedwabiu, naszywana także krakowskiemi wstążkami.

Piękne nasze ludowe hafty poleskie, wileńskie czy huculskie możemy spopularyzować na torbach plażowych. Białe



Narzuta na lekkie suknie, wykonana z materjału używanego na spódnice krakowskie, albo góralskie.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3–4 osoby.

KAWA MROŻONA. I. Naparzyć mocnej czarnej kawy biorąc np. 6 dkg na 6 osób. Aby kawa była naprawdę dobra, trzeba zachować pewne środki ostrożności dla zabezpieczenia lotnego jej aromatu. I tak ogrzać trzeba najpierw maszynkę od naparzania kawy i wstawić ją do naczynia z gorącą wodą. Następnie wsypać do niej zmieloną kawę i zalać ją sześcioma łyżeczkami wrzącej wody. Po pięciu minutach zacząć dolewać wrzącą wodę w ilości potrzebnej na ilość osób. Mrożoną kawę podaje się w szklankach, wypełnionych kawą do połowy, uzupełniając resztę bitą słodką śmietanką. Przed zamrażaniem należy kawę osłodzić (do smaku), ponalewać w szklaneczki, wystudzić i wstawić do lodowni. Również do lodowni wstawia się ubitą osobno śmietankę, a przed wydaniem na stół dopełnia się szklaneczki z kawą, zamrożoną śmietanką.

II. Mrożoną kawę można podawać również, przyrządziwszy lody kawowe, które przy wydaniu na stół rozmieszać należy drewnianą szpatułką, aby nie były za twarde. Szklaneczki napełnia się więcej niż do połowy lodami, dając na wierzch ubitą i zamrożoną słodką śmietankę, którą posypuje się z wierzchu grubym krystalicznym cukrem

Lody kawowe, jako podkład do podanego przepisu: 5 żółtek utrzeć do białości z 33 dkg cukru. Osobno zagotować pół litra śmietanki lub mleka i gorące wlewać do żółtek, ucierając bez przerwy, aby się nie zważyły. Równocześnie wlać 1/4 szklanki mocnej esencji kawowej. Tak przyrządzony krem stawia się w garnku z wrzącą wodą na kraju blachy, ucierając, aż masa zgęstnieje i uważając, aby się żółtka nie zważyły, co niechybnie nastąpi jeżeli się krem zbytnio przegrzeje i dopuści do tego aby zawrzał. Po wystudzeniu tej masy wlewa się ją do puszki od lodów i kręci wedle zwykłych norm, póki się lody nie zastudzą.

MAZAGRAN. Mocną czarną kawę, dobrze osłodzoną, rozcieńcza się wrzącą wodą (1 część esencji kawowej 3 części wrątku), wystudza i wstawia do lodowni. Przed podaniem na stół, dolewa się koniaku, licząc pół kieliszka na szklankę przygotowanej kawy. Mazagran podaje się w wysokich szklankach z nóżką, napełnionych do połowy lodem i pije się przez słomkę.

KRUSZON. Kruszony przyrządza się w upalne dni lub w karnawale, jako napoje chłodzące, podawane w czasie przyjęć z tańcami. Podstawą każdego kruszonu jest białe wino, począwszy od najlżejszych stołowych, aż do szampana, oraz świeże owoce, jak poziomki, maliny, truskawki, brzoskwinie, morele, pomarańcze lub ananas. Kruszon podaje się w kryształowej wazie z chochlą z tego samego szkła i garniturem szklaneczek lub puharków. Wazę napełnia się do 1/3 drobno pokruszonym lodem.

I. Pokrajać w talarki 3 pomarańcze obrane ze skórki, ułożyć je na dnie wazy, wypełnionej lodem, wsypać filiżankę poziomek, pół funta mączki cukrowej, wymieszanej z doskonale utłuczoną wanilją (do smaku). Nalać na to 2 litry białego wina i 2 syfony wody sodowej. Zamieszać szybko w wazie i podać na stół. Wszystkie składniki dobrze jest trzymać przedtem w lodowni, aby kruszon miał jak najdłużej dobrą temperaturę.

II. Mocniejszy od poprzedniego kruszon uzyskamy w ten sposób, że dolewa się, prócz wina pół szklanki likieru wiśniowego lub morelowego, a oprócz surowych jagód lub owoców, daje się trochę konfitur. Smaki można odpowiednio mieszać, doprowadzając do perfekcji tę umiejętność, podobną do perfekcji mixera, przyrządzającego cocktaile.

III. Bardzo wytworny kruszon z szampanem. Skroić cieniutko skórkę z jednej pomarańczy (przedtem dobrze wymytej i obsuszonej). Zalać ją w wazie sokiem z trzech pomarańcz i zasypać grubym cukrem krystalicznym. Wkońcu zalać pół litrem dobrego wina i postawić na lodzie na kilka godzin. Przed podaniem wymieszać dokładnie, przecedzić przez woreczek muszlinowy, wlać szklankę soku ananasowego i pół butelki wina szampańskiego.

IV. Kruszon z jabłek i szampana: 2 kg jabłek najlepszych stołowych, obrać, pokrajać w talarki, zalać dwoma litrami lemoniady (2 litry wrzącej wody, sok z dwóch cytryn, skórka cieniutka z pół cytryny i pół funta miałkiego cukru). Jabłka zalane lemoniadą stawia się w lodowni na 12 godzin. Potem wyciska się sok z namoczonych jabłek przez płócienny woreczek i stawia w wazie na lodzie. Przed wydaniem na stół wlewa się do przygotowanego płynu butelkę szampana dobrze zamrożonego.

GALARETKA Z AGRESTU I PORZECZEK. Obrany agrest i porzeczki (w równych ilościach) rozgotowuje się z małą ilością wody na kraju blachy. Rozgotowane zupełnie owoce wyciska się przez płótno i odmierza. Na litr soku bierze się 15 dkg cukru. Po rozpuszczeniu się cukru w soku, przystawia się naczynie — które nie śmie być nigdzie uszkodzone — do ognia i gotuje powoli tak długo, aż próba zrobiona przez spuszczenie kropli na talerzyk się powiedzie, tj. kropla stanie, nie rozpływając się. Gorącą konserwę zlewa się do słoików i po ostygnięciu przykrywa się krążkiem celofanu, umaczanym w rumie, poczem się słoik owiązuje również celofanem.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Coraz to nowe sprzęty kuchenne ułatwiają nam pracę w gospodarstwie: oto widzimy na naszem zdjęciu sitko, dostosowane kształtem do sosjerki oraz drewnianą kulistą rolkę do przecierania przez sitko jarzyn. Praktyczność tych sprzętów ocenią najlepiej panie domu, posługujące się jeszcze drewnianą łyżką przy przecieraniu jarzyn i owoców.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 30 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **23** Apolinarego	Zupa z drobiu z groszkiem ptysiowym. Grzybki na muszelkach. Kurczęta pieczone nadziewane kaszką. Sałata z ogórków. Placek z jagodami. Kolacja: Marynowane ryby.
Poniedziałek **24** Krystyny	Chłodnik z głąbików. Kotleciki jarskie. Pieczeń sarnia z sosem czereśniowym. Ciastka francuskie z poziomkami. Kolacja: Jaja w sosie szczawiowym.
Wtorek **25** Jakuba ap.	Zupa groszkowa z tartem ciastem. Kalarepka z wody z masłem i bułeczką. Zraziki cielęce w sosie cytrynowym z kluseczkami. Galaretka morelowa. Kolacja: Omlety z grzybkami.
Środa **26** Anny matki NPM	Borówczanka z grzankami. Młoda kapusta z masłem i bułeczką. Prędkie rozbratle z sałatą głowiastą i ogórkową mieszaną. Zimna legomina z grysiku. Kolacja: Pierożki z jagodami i śmietaną.
Czwartek **27** Natalji	Rosół z jarzynkami. Sztuka mięsa z sosem jajecznym zimnym. Wątróbka szpikowana-duszona z ryżem i marchewką. Kisiel z porzeczek z śmietanką. Kolacja: Ziemniaczki z kefirem.
Piątek **28** Innocentego	Chłodnik z maślanki. Bukiet jarzynowy. Raki w śmietanie. Strudel z serem. Kolacja: Grzybki z ziemniaczkami.
Sobota **29** Marty, Flory	Chłodnik malinowy z grzankami. Kalafior z masłem. Pieczeń nerkowa z marchewką. Knedelki z wiśniami. Kolacja: Jaja na szynce.



POMYSŁOWY ŻEBRAK.



Napis na tabliczce: „Jestem daltonistą".
„Esquire".

Dokończenie na str. 24-ej.

rzystał z zaproszenia na tę uroczystość, ponieważ nie chciał słyszeć swego dzieła w miernem wykonaniu dyletantów — a pragnął podkreślić, że nie szuka sposobności, aby być przedstawionym królowi. Pomimo to otrzymał duże wynagrodzenie: osobno od Królewskiej Akademji Muzyki (50 luidorów) — osobno ze szkatuły króla za pierwsze wystawienie „Wróżka" w Fontainebleau (100 luidorów), ponadto od pani Pompadour (50 luidorów). Jan Jakób czuł się zadowolony i bogaty jak Krezus!

Słynny i niezwykle wówczas popularny malarz La Tour zrobił mu portret, aby mu dać dowód swego podziwu dla jego wielkości. Doczekał się też Rousseau tego, że w teatrze włoskim wystawiono „Wróżka", strawestowanego przez panią de Favart — jako intermedium „Les amours de Bastien et Bastienne" — które posłużyło później wielkiemu mistrzowi oper komicznych, Mozartowi jako libretto do jego opery buffo pod tym samym tytułem. Jak wiele ma walorów i wdzięku ta opera filozofa świadczy fakt, że nawet Goethe, który raz jeden jako mały chłopiec w czasie wojny siedmioletniej oglądał „Le devin" na scenie w Frankfurcie nad Menem — tak sobie upodobał tę sztukę, że potem w roku 1781 prosił swą matkę, by mu przysłała egzemplarz „Wróżka" do Weimaru [1]. — A. Gluck, gdy usłyszał „Le devin" w Paryżu, powiedział do swego ucznia Salieriego: „my zrobilibyśmy to pewnie inaczej, ale nie mielibyśmy racji" [2].

* * *

Nic na świecie nie wywołuje tak gwałtownej reakcji jak powodzenie i sukces. Nic w takim stopniu nie mobilizuje zawiści wrogów. Na ten temat opowiada wiele ciekawych rzeczy Jan Jakób w swych Wyznaniach — np. jak to się stało, że w jakiś czas później zarzucono mu, że nie on jest autorem „Wróżka", lub że melodje jego nie są oryginalne. Otóż, kiedy Rousseau pisał balet do swej opery, baron d'Holbach, amfitrion Encyklopedystów usilnie go prosił, by ze zbiorku melodyj, będącego własnością barona, zechciał Rousseau wybrać przynajmniej jedną i włączyć ją w swój balet. Jan Jakób przez grzeczność zastosował się do prośby barona. W parę dni później zastał Rousseau swych przyjaciół w mieszkaniu jednego z nich, Grimma, przy klawikordzie, pilnie studjujących ów właśnie zbiorek melodyj d'Holbacha... Był to więc podstęp barona, który naprzód skłonił Rousseau'a do użycia melodyj zbiorku, po to, by później zrobić mu zarzut, że melodje „Wróżka" są „kradzione". W ten sposób chciał zaszkodzić Rousseau'wi, którego nienawidził i nazywał „muzykantem i chłystkiem". Doszło nawet później do tego, że zarzucono Janowi Jakóbowi, iż wogóle nawet nut nie zna!

Nie to było jednak przyczyną straszliwej burzy, która rozpętała się wokół osoby Rousseau'a, potępienia tak daleko posuniętego, że aż odebrano mu prawo wstępu do Opery w Paryżu, prawo należące mu się dożywotnio — według panującego zwyczaju — jako autorowi opery, wystawionej na tej scenie. Jak mogło do tego dojść? Otóż było to tak: Równocześnie prawie z wystawieniem „Wróżka" przybyła do Paryża trupa włoskiej opery Buffo. Szczery, bezpretensjonalny ton włoskiego „bel canta" musiał wywołać zachwyt. To też buffoniści zyskali żarliwych zwolenników. Cały Paryż podzielił się na dwa obozy. Znaleźli się bowiem i tacy, którzy z patrjotyzmu, chociaż pewnie wbrew własnemu przekonaniu, stanęli w obronie muzyki francuskiej. I rozpętał się słynny spór buffonistów z antybuffonistami we Francji. Walka przeniosła się z teatru na dwór. Poruszony problem wysuwa się na plan pierwszy, staje się przyczyną ostrej polemiki publicystycznej, w której biorą udział pierwszorzędne pióra. Wtedy to pisze Jan Jakób broszurę: „Lettre sur la musique française", która wywarła niewiarygodne wrażenie. Dość powiedzieć, że usunęła ona w cień ówczesną walkę kleru z parlamentem. Uwaga wszystkich zwróciła się ku autorowi broszury, a całe wrzenie przeciw niemu. Bo też wystąpienie Rousseau'a w „Lettre sur la musique française" było wetknięciem kija w mrowisko! Stwierdza on w niej bowiem bez skrupułów prymat muzyki włoskiej nad francuską operą Lully'ego. Wypowiedział otwarcie zdanie, że „Francuzi nie są zdolni do stworzenia własnej opery". Powodzenie „Le devin du village" i „La serva padrona" mówiło samo za siebie.

Historyczną niemal donioslość tego zdarzenia określa sam Jan Jakób już z perspektywy, bo w 15 lat później, w ten sposób: „Kiedy powiem, że broszura ta zapobiegła może przewrotowi w państwie, ktoś uważać to będzie za szaleństwo! Jest to jednak rzeczywista prawda, którą cały Paryż może jeszcze potwierdzić, wobec tego, iż upłynęło nie więcej niż 15 lat od czasu tego osobliwego zdarzenia" [1].

Oto krótka historja „opery filozofa".

[1]) Goethe Werke XX 85 i 306.
[2]) A. Jansen: „Rousseau als Musiker", 182.

[1]) Rousseau: „Wyznania" ks. VIII.

AMATOR DOMOWEGO OGNISKA.



— W takie dni najchętniej przesiaduję w domu!

„Esquire".

Dokończenie ze str. 26-ej.

lonji na korzystanie z największego portu belgijskiego. Pełny projekt króla Alberta nie został jednak jeszcze wykonany. Będzie on dopiero wówczas, gdy z Antwerpji kanał ten przekopany zostanie do Zeebrugge i tem samem „połączy" Belgję z morzem, przetwarzając tam jednocześnie z tego małego, rybackiego portu, drugą Antwerpję.

Na pełną realizację tego projektu trzeba jednak poczekać długich jeszcze lat.

Wystawa Wody gościła już u siebie królowę Wilhelminę holenderską, w najbliższych dniach przybędzie na nią prezydent Lebrun i prawdopodobnie odwiedzi ją również monarcha angielski.

Od dawna już nie widziano na żadnej z wystaw podobnego zjazdu głów koronowanych. Ma to związek z wyjątkową obecnie sytuacją międzynarodową, kiedy to możni sąsiedzi Belgji pragną w ten sposób wskazać na swą przyjaźń dla tego małego, lecz bogatego państwa.

W pamięci Leodyjczyków pozostaną jednak na zawsze dwie sceny: inauguracja wystawy przez 4-letniego syna monarchy belgijskiego księcia Alberta de Liège i pierwsza oficjalna wizyta królowej holenderskiej Wilhelminy.

Król Leopold pragnął na tej wystawie wykazać wobec skłóconej opinji belgijskiej, iż nie jest on królem flamandzkim, ani też walońskim, lecz belgijskim. Jeśli starszy jego syn spędza swe wakacje w Holandji, by nauczyć się tam języka niderlandzkiego i wychowanie jego pozostaje pod wpływem Flamandów, drugi syn króla Leopolda III, książę z Liège, posiada wychowanie w stu procentach walońskie. Młody książę oświadczył też w czasie inauguracji: „je déclare l'Exposition Internationale de l'Eau ouverte".

Drugiem historycznem wydarzeniem była wizyta królowej holenderskiej. Od stu przeszło lat, po oderwaniu się Belgji od Holandji, co spowododowało upadek mocarstwa holenderskiego i wejście jego w poczet państw małych, stosunki belgijsko-holenderskie układały się fatalnie.

Budowa kanału Alberta wywołała zresztą głośny proces przed Trybunałem w Hadze, który pasjonował w niebywały sposób obydwa kraje. Holandja dowodziła bowiem, iż Belgja nie ma prawa konstruowania tego kanału, ze względu na to, iż chce wziąć do niego wodę z rzeki Mozy.

Moza, biorąca swój początek we Francji, po przepłynięciu przez Belgję, przerzyna południową Holandję i wpada do morza Północnego w pobliżu Rotterdamu. Rzeka ta doprowadza wodę do dziesiątka kanałów holenderskich, a między innemi, do jednego z największych — kanału ks. Juljanny. Z chwilą, gdy Belgowie wprowadzili wodę z tej rzeki do kanału Alberta, poziom kanałów holenderskich, uregulowanych do centymetra, mógł ulec katastrofie. Holendrzy proces ten jednak przegrali. Belgja ma prawo brać wodę z rzek, przepływających przez jej terytorjum.

Wizyta królowej Wilhelminy w Liège na wystawie, zorganizowanej z okazji ukończenia tego kanału, była więc oznaką, iż stosunki między obydwoma krajami po przeszło stuletnich kłótniach będą w przyszłości przyjazne.

Hajot.

SPROSTOWANIE.

Do podpisu pod zdjęciem, zatytułowanem „Kronika ślubna" w nr. 28-ym „Asa" w rubryce „Życie towarzyskie i artystyczne" należy dodać: „Halina Otorowska, córka Antoniny z Zapałowiczów i inż. Ludwika Otorowskich" przy nazwisku zaś pana młodego: „z prof. drem Józefem Wrońskim".

IDZIEMY DO TEATRU:

...w Krakowie:

— na przedstawienie komedji A. Benedetti'ego „Szkarłatne róże", która grana jest obecnie przez teatr im. J. Słowackiego. Komedja ta, obrazująca zabawne perypetje młodego małżonka, który ufny w swój „niezawodny system" zdobywania kobiet, zostaje srodze ukarany przy pomocy tegoż właśnie systemu, obfituje w szereg bardzo zabawnych scen, doskonałych dowcipów, a przytem nie pozbawiona jest szczerego sentymentu. Główną rolę kobiecą gra nowo-zaangażowana artystka sceny poznańskiej Jadwiga Baronówna. Główne role męskie grają: Z. Mrożewski i K. Fabisiak. — Sztukę przygotował reżysersko J. Karbowski.

...w Warszawie:

— do Teatru Letniego, który święci obecnie jubileusz 70-lecia... budynku, w którym mieści się ta ulubiona przez publiczność warszawską scena. Na jubileuszowe przedstawienie wybrano, zresztą dość niefortunnie, farsę Franciszka Arnolda „Zgorszenie publiczne". Przedstawienia poprzedzane są dowcipnym prologiem Światopełka-Karpińskiego, a premjerowy spektakl poprzedził przemówieniem dyr. Trzciński, który opowiedział historję i zasługi dla teatru polskiego tej drewnianej budy, która, wzniesiona jako scena prowizoryczna, przeznaczona tylko na lato, została następnie dostosowana do całorocznej pracy i gościła na swych deskach najwybitniejszych aktorów polskich. Dyr. Trzciński w przemówieniu swem podkreślił, że Teatr Letni jest najakustyczniejszym teatrem w Warszawie, że widoczność sceny jest doskonała ze wszystkich miejsc, że jest najbezpieczniejszy ze wszystkich teatrów warszawskich pod względem pożarowym, posiada największą ilość wyjść i najlepsze urządzenia wodociągowe. Ta pochwała Teatru Letniego — jest równocześnie ostrą przyganą pod adresem innych gmachów teatralnych.

„Zgorszenie publiczne", grane już w latach ubiegłych, zostało obecnie wybitnie zaktualizowane. Aktorzy, jak podkreśla krytyka, naogół nie potrafią obecnie grać fars. W „Zgorszeniu publicznem" jedynie J. Zaklicka stworzyła doskonały typ tancerki murzyńskiej i rolę swą świetnie wygrała. Reszta wykonawców grała poprawnie, a zwłaszcza Dobrzańska, Stojowska, Orwid i Grabowski.



Wanda Bartówna, wybitna aktorka warszawska.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

W chwilach tak decydujących dla naszego dalszego rozwoju wypadków politycznych jak obecna trzeba by cały naród zorjentowany był co do praw i obowiązków jakie ciążą na Polakach. Zagadnienie Gdańska nie powinno zostać tylko tematem rozmów kawiarnianych: powinniśmy je czuć i wiedzieć dlaczego musimy mieć dostęp do morza i dlaczego polityka nasza nie może dać się odepchnąć od Bałtyku. Dlatego też zjawiła się praca Plk. Wiktora Huberta: „Polskie dążenia morskie" wydana przez Ligę Morską i Kolonjalną w samą porę. Niewielka ta praca orjentuje nas w sposób zwięzły, syntetyczny i ciekawy o naszej polityce morskiej od chwili powstania Państwa Polskiego aż po rok 1863 kiedy to go jak mało kto znaczenie morza i Gdańska. Wkońcu dochodzimy do r. 1863 kiedy gabinet londyński oświadczył, że warunkiem uznania naszego rządu narodowego będzie wpłynięcie do jakiegokolwiek portu angielskiego conajmniej dwóch polskich statków pod polską banderą. Lektura to zajmująca, a co więcej konieczna.

JGM.

Tadeusz Wittlin, autor tomu humoresek i „obrazków" satyrycznych p. t. „Pięta Achillesa", ma już wyrobiony kredyt u czytelników. Pamiętamy jego humoreski, drukowane w „Cyruliku Warszawskim" pod pseudonimem Tadzio-Tadzio. Część z nich pomieścił autor w swym pierwszym tomie wesołych historyjek. Typowym utworem dla pisma humorystycznego jest zabawna „Wyprawa polarna", niby-to pamiętnik angielskiego marynarza. Dużo tu humoru, opartego przeważnie na kalamburze. „Lekki" humor reprezentują: „Upominek", „Warjat", „Michałek", „Krysieńka", „Automatyczny syfon"... Kilka grotesek ma pointa'ę trochę niezrozumiałą, jak np. „Rozkoszne manicure", „Amerykańska reklama", czy „Filantrop". Więcej, niż dobra jest „Pomyłka". Dość zabawne są „motta". Bezwzględnie najlepsza w całym tomie jest nowelka „Przebudzenie". Ma też najzabawniejsze motto: „W życiu bywa rozmaicie: czasami: tak, czasami — nie. Czasami nie bywa wcale. I to przeważnie". „Przebudzenie", opowieść o człowieku, który chciał odnaleźć zgubione życie, posiada wartość nieprzeciętną — choć nie powinna znaleźć się w tomie humoresek. W sumie: poziom trochę nierówny, ale dość wysoki. Talent niewątpliwy. Lektura zajmująca. Okładka Eryka Lipińskiego i rysunki St. Osieckiego — bez zarzutu.

B. B.



Flota polska walczy z szwedzką pod Oliwą dn. 28 listopada 1627 r. (współczesny sztych gdański).

również sprawa stworzenia choćby tylko zalążka naszej floty stała się aktualną. Dowiadujemy się o rzeczach, które każdy Polak powinien znać na pamięć. Dowiadujemy się o wytężonej woli naszych Piastów utrzymania w ręku polskim Pomorza nietylko nadwiślańskiego, ale też nadodrzańskiego, dowiadujemy się o różnych „chwytach" niemieckich, przy pomocy których nasz zachodni sąsiad chciał nas pozbawić tych ziem, prowadząc równocześnie eksterminacyjną politykę ludnościową i dowiadujemy się, że dzisiejsi władcy brunatnych Niemiec nie są bynajmniej oryginalni działając według starej recepty. Dopiero wchłonięcie przez nas Litwy i narastające stąd trudności i kłopoty w związku z kresami wschodniemi, z napadami tatarskiemi, tureckiemi, z buntami kozackiemi, wojnami szwedzkiemi itd. odwróiły na pewien czas naszą uwagę od zachodniego wybrzeża na korzyść wschodnich zagadnień. Ale wspomina też autor o planach Władysława IV o organizowaniu floty przez Batorego rozumiejące-

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W niedzielę dn. 23 bm. o g. 16.30 usłyszymy koncert pt. „Hiszpańska muzyka fortepianowa", następnie duety operowe na dwa soprany. O godz. 17.30 podwieczorek przy mikrofonie z Torunia, w wykon. Małej Orkiestry P. R., wybitnych solistów, chóru Dana i in. O godz. 19.00 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko pt. „Gospoda pod ukoronowanym kumotrem". O godz. 21.15 muzyka taneczna, a w przerwach trzy humoreski Tristana Bernarda.

W poniedziałek dn. 24 bm. o godz. 18.00 usłyszymy recital fortepianowy wybitnej artystki węgierskiej K. Racz. O g. 18.50 audycja „Echa mocy i chwały", a o godz. 21.00 koncert współczesnej muzyki szwedzkiej, transmitowany ze Sztokholmu. W programie figurują utwory K. Rosenberga, L. E. Larssona, G. Nystroema, D. Wirena i G. Eka.

We wtorek dn. 25 bm. o godz. 15.00 muzyka ludowa z Wileńszczyzny, a o godz. 18.00 kwartet Es-dur op. 51 Antoniego Dworzaka. O godz. 18.25 recital organowy A. Kozłowskiego z Łodzi. — o godz. 21.00 transmisja koncertu z Krzemieńca, a o godz. 22.15 audycja słowno - muzyczna p. t.: „Triumfalnym krokiem poloneza".

We środę dn. 26 bm. o godz. 16.20 wesołe piosenki w wyk. K. Zboińskiej-Ruszkowskiej, a o g. 18.00 audycja p. t. Słynne symfonje. O godz. 19.00 audycja Śląskiej Pozytwki, a o godz. 21.00 koncert chopinowski w wykonaniu świetnego pianisty Z. Drzewieckiego.

We czwartek dn. 27 bm. o g. 16.20 preludja organowe W. Żeleńskiego, w wyk. K. Garbusińskiego, o g. 21.00 recital skrzypcowy S. Mikuszewskiego, a o g. 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko „Imć pan Pasek wojuje w Danji", oparte na pamiętnikach pisarza. O godz. 23.15 koncert muzyki polskiej.

W piątek dn. 28 bm. o godz. 18.25 kwartety Beethovena, a o g. 19.00 audycja „Baśń, klechda, legenda", opracowana przez znakomitego uczonego prof. Zielińskiego, zaś o godz. 21.00 pierwsza część opowieści o Schubercie, który to cykl opracowuje znakomity kompozytor i muzykolog prof. Łucjan Kamieński.

W sobotę dn. 29 bm. o godz. 19.00 usłyszymy odcinek powieści radjowej o Szczepku i Tońku, — o godz. 20.00 melodje Ziemi Jaworzyńskiej, a o g. 21.00 transmisja muzyki tanecznej.



Prof. dr. Lucjan Kamieński, kompozytor i znakomity prelegent radjowy.

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. Zakłady Graficzne „IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.